

ISSN 2353-1037  
nr 2(23)/2017  
egzemplarz bezpłatny  
marzec/kwiecień

# projektor

kielecki  
magazyn  
kulturalny

**PIŁSUDSKI**  
wśród Ajnów

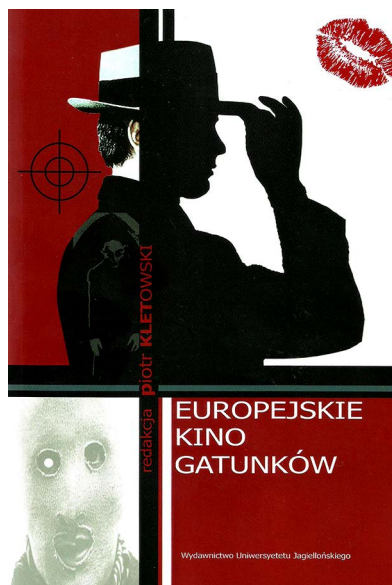
**Ukraińskie**  
graffiti

**Dwa lata**  
na wyspie  
pingwinów

**Biały**  
królik  
tańczy

**Żuławski -**  
rzymskie wakacje





*Europejskie kino gatunków,*  
red. Piotr Kletowski  
448 s. ; 25 cm  
Kraków : Wydawnictwo  
Uniwersytetu Jagiellońskiego, 2016  
791.22(4)

# Dama z szylkretowym pistoletem

Paweł Chmielewski

**To jest książka o westernie, wampirach i o musicalu, o zombie, o gangsterach niejednoznacznych, Martinie Scorsese, Lubow Orłowej, pewnych perwersjach (od tego, oczywiście zaczynamy lekturę), o bohaterach milicjantach, o Francuzie, który stał się samurajem.**

SKARBIEC ZASKAKUJĄCYCH HISTORYJEK i pikantnych anegdot, którymi ubarwić można nocne Polaków rozmowy. I 448 stron rzetelnej wiedzy. Trzy słowa – w skrócie – opisują zawartość „Europejskiego kina gatunków”. Dama, to wyrafinowanie, piękno, ale i niebezpieczna perwersja czyli kino obyczajowo-erotyczne. Szylkret – tajemnica, odmiennosc – to horror, thriller. Pistolet – film gangsterski, wojenny, western. Zarazem to, być może nie do końca wyrafinowana, aluzja do mojego ulubionego obrazu o przygodach Jamesa Bonda i jednego z horrorów Daria Argento, który – pamiętając za nieśmiertelny dialog o jedzeniu kotów – uznaję za mistrzowskie osiągnięcie gatunku. Dodam, że reżyser „Głębokiej czerwieni” jest głównym bohaterem eseju Grzegorza Fortuny Jr. o włoskim kinie grozy.

Przed – bardzo skrótownym – omówieniem zawartości tomu, tylko zacytuję: *Kino genre’owe powstające na Starym Kontynencie było zawsze kinem odważniejszym, nieskrępowanym obostrzeniami cenzury w takim stopniu, jak kręcone do lat 60. w cieniu kodeksu Haysa produkcje hollywoodzkie.* To fragment ze wstępu Piotra Kletowskiego (redaktora wydawnictwa), który nad – pionierską na polskim rynku książką – pracował sześć lat. Dwudziestu filmoznawców (często z ogromnym dorobkiem krytycznym), tworzy panoramę gatunkowego kina europejskiego, skupioną wokół trzech zagadnień – strachu, ciała i zbrodni. Zamykający zbiór eseju

Kletowskiego, stosując figurę palimpsestu (w literaturoznawstwie to tekst zapisany na innym tekście), pokazuje jak giganci amerykańskiego kina korzystają z dorobku naszego kontynentu. Jak F.F. Coppola eksploruje kino włoskie – w „Rozmowie” nadpisując „Powiększenie” Antonioniego, w „Ojcu chrzestnym” – „Lamparta” Viscontiego. Tu objawia się właśnie mechanizm, nic szczególnie nowego, wszak Hollywood od dawna żyje z remake’ów europejskiej sztuki filmowej.

Ciekawie wypada tu Skandynawia (mało znana szerszemu widzowi, poza Bergmanem i von Trierem). Nicolas Winding Refn w artykule Marka Sługiera to genialny, politematyczny samouk. Kto wie czy za kilkadziesiąt lat nie będą o nim mówić jak o drugim Kubricu? I szwedzki horror – anonimowy, lecz fascynujący (choć szkoda, że tylko krótką notą Maciej Muszański opisał najlepszy wśród nich – „Pozwól mi wejść” Alfredsona). Gangsterskie obrazy Melville’a (Patrycja



Włodek), czeska fantastyka (Jan Trzupek), kryminały z PRL-u (Katarzyna Wajda), radzieckie musicale z lat 30. (Małgorzata Flig) – to tylko niektóre z gatunkowych odmian europejskiej X Muzy. Bardzo dobrze się czyta rozważania Łukasza Maciejewskiego nad polskim kinem historycznym, choć, o ile zgodzę się z oceną, że „Róża” Smarzowskiego to najlepszy film tego nurtu w ostatnich latach w Polsce, to zdziwił mnie brak znakomitej „Obławy” Krzyształowicza.

Wszystko zaczyna się jednak od przerażenia stworzeniami nocy, bo chyba właśnie horror – jako być może psychologiczny efekt dwóch europejskich wojen – został w tej publikacji ukazany najpełniej. Zaczynając nie tylko od niemieckiego ekspresjonizmu (choć zabrakło szerokiej analizy „najgorszego, aktualnie, reżysera świata” Uwe Bolla), ale też kreśląc tryumf i upadek hiszpańskiej grozy (Bartłomiej Paszyk) oraz historię brytyjskiej wytwórni Hammer (Grzegorz Druja). Eksploracja rejonów mrocznych, gdzie – cytując klasyka – *ciato – dla zbiegłych lubości*, to domena nieskrępowanego, ale i (przyznaję się do zaskoczenia) żartobliwego kina Tinto Brass (Diana Dąbrowska) oraz perwersyjnych ekranizacji markiza de Sade’a (Paweł Hapka). Książka specjalistyczna, którą czyta się nadzwyczaj łatwo. Ciekawe jak długo będziemy czekać na tom drugi. ■





LUDZIE DZIELĄ SIĘ na tych, którzy czekają na piątą część przygód Jacka Sparrowa i na tych, którzy się do tego nie przyznają. Najbardziej ekscentryczny z karaibskich piratów podróżuje po zaświatach, szuka Fontanny Młodości i spotyka Latającego Holendra. Wszystkie – czerpiące z mitycznych podań, archetypów, żeglarskich legend i podań Nowego Świata – przygody kapitana „Czarnej Perty” mają jeden wspólny cel i temat – wieczną wędrówkę. I choć Gore Verbinski (oraz jego następcy) nie dorównuje wyobraźnią oświeceniowym fantantom – z bajecznym mistrzem dowcipu Jonathanem Swiftem – to cel jest wciąż ten sam – cudowna podróż, pchanego ciekawością człowieka.

Bon mot, rzucony kiedyś podobno przy stole przez Williama M. Thackeraya, tuż po „napisaniu” scenariusza dla Stanleya Kubricka, a dokładniej – za ledwie – sto trzydzieści lat przed nakręceniem „Barry’ego Lyndona”, otóż Thackeray miał powiedzieć, że dziewięć na dziesięć książek powstaje z powodu kobiety, a prawie wszystkie są o miłości. Nawet, jeśli nie on jest autorem tej celnej jak żądło riposty, to przypowieść jest doskonała, bo jeśli nie z miłości pisarze brali za pióro, to z miłości do odległych podróży z pewnością.

W zabawnej scenie „Amadeusza”, mówiącej prawie wszystko o istocie sztuki, Mozart tłumaczy Leopoldowi z Habsburgów, cesarzowi największej monarchii w Europie, że każdy woli raczej posłuchać plotek swojego fryzjera niż heroicznych pieśni dawnych bogów. Dlatego Wojciech Cejrowski jest większą gwiazdą niż Zygmunt Bauman, dlatego Martyna Wojciechowska prześcignie w każdym rankingu Marię Janion.

Pamiętniki podróży, opisy – skazujące autorów na śmierć (Radiszczew), zakazywane na lata przez cenzurę (de Custine) – sentymtalne, ubarwione i cudowne, dawały autorom pieniądze i nieśmiertelną sławę. Tristram Shandy podobał się czytelnikom, ale dopiero „Podróż sentymtalna” uczyniła ze Sterne’a „gorące” nazwisko. Dopiero „Wędrówki Child Harolda” kreują literacką megagwiazdę – lorda Byrona. Jakkolwiek wysmakowany, prawie egzystencjalny „Pojedynek” Ridleya Scotta (według prozy największego, obok Homera i Dantego, geniusza literackich podróży – Josepha Conrada) był dziełem wspaniałym, to dopiero kosmiczna epopeja Obcego wprowadziła go do reżyserskiego raję.

Wszyscy podróżują, lecz nadal liczy się i wygrywa konkretny, detal, utkana z celnych słów rzetelna anegdota. Renesans przeżywają przedwojenne niemieckie informatory o włoskich zabytkach i nieśmiertelny przewodnik kolejowy z 1913 roku George’a Bradshawa, który doczekał się nawet serialowej reinkarnacji w czterech odstępach. ■

*Paweł Chmielewski*

projektor  
kielecki  
magazyn  
kulturalny

Kielecki magazyn kulturalny

„PROJEKTOR”  
dwumiesięcznik

ISSN 2353-1037

WWW.PROJEKTORKIELCE.PL

e-mail: projektorkielce@onet.eu

tel. 605 343 341

Wydawca: STOWARZYSZENIE TWÓRCZE „ZENIT”

ul. Zbożowa 4 lok. 12, 25-416 Kielce

WWW.ZENIT.ORG.PL

Redaktor naczelny: PAWEŁ CHMIELEWSKI

Oktładka: SIMEON GENEW

Logo: BOA

Skład, redakcja graficzna: KRYSZTOF MUCHA

WSPÓŁPRACA: MAŁGORZATA ANGIELSKA, MARTA BARAN, DOMINIK BOROWSKI, SYLWIA GAWŁOWSKA, OLIVIA HILDEBRANDT, PIOTR KARDYŚ, PIOTR KLETOWSKI, AGNIESZKA KOZŁOWSKA-PIASTA, MIROSLAW KRZYSZTOFEK, AGATA KULIK, IZABELA ŁAZARCZYK-KACZMAREK, MARTYNA MUSIAŁ, DOROTA NOWAK-BARANOWSKA, ADAM ORGANISTY, AGATA ORŁOWSKA, ŁUKASZ RAKALSKI, EMMANUELLA ROBĄK, MICHAŁ SIEDLECKI, AGATA SUSZCZYŃSKA, ALEKSANDRA SUTOWICZ, ŁUKASZ SZARUGA, KATARZYNA SZYCHOWSKA, ARTUR WABIK, ARTUR ZIELIŃSKI

ZDJĘCIA: OLIVIA HILDEBRANDT, TOMASZ KOZŁOWSKI, BARTOSZ KRUK, DOROTA NOWAK-BARANOWSKA, AGATA SUSZCZYŃSKA, BARTEK WARZECHA, ARTUR ZIELIŃSKI

RYUNKI: TOMASZ ŁUKASZCZYK

nakład: 1100 egz.

Druk: „JAWIST”, Kielce, ul. Warszawska 209

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych i zastrzega sobie prawo do redagowania nadestanych tekstów. Odpowiedzialność za treść zamieszczanych reklam ponoszą wyłącznie reklamodawcy.

# Spis treści:

## PATRONAT MEDIALNY – FILM

0. **Paweł Chmielewski**  
Dama z szylkretowym pistoletem („Europejskie kino gatunków”)

## TEMAT NUMERU: PODRÓŻE

3. **Emmanuella Robak**  
Podróż w głąb tekstu (Elżbieta Rybicka, „Geopoetyka”)
4. **Piotr Kardyś**  
Proniswahu Piwsuciki – król Ajnów (Bronisław Piłsudski – etnograf w Muzeum Historii Kielc)
6. **Artur Wabik**  
Brama do Europy (Co sądzą Ukraińcy o polskiej kulturze?)
8. **Izabela Łazarczyk-Kaczmarek**  
Wszechstronność formy i tematu (Wystawy Okręgu Świętokrzyskiego ZPAF w Polsce)
11. **Martyna Musiał**  
Obecność w kulturze (Jarosław Abramow-Newerly, „W cieniu paryskiej Kultury”)
12. **Artur Zieliński**  
Dwa lata na wyspie pingwinów („Z Projektoem na różnych kontynentach” – Antarktyka)
14. **Dorota Nowak-Baranowska**  
Kirgiz zszedł z konia? („Z Projektoem na różnych kontynentach” – Kirgistan, Tadżykistan)
16. **Paweł Chmielewski**  
Zostały po nim tylko buty („Z Projektoem na różnych kontynentach” – socrealizm wschodnioeuropejski i popkultura)
19. **Agata Orłowska**  
Od śmierci do życia (Karolina Marcinkowska, „Od-tworzyć przeszłość. Kult czumba na Madagaskarze”)
20. **Paweł Chmielewski**  
Ich war nur ein Buchhalter (Martin Pollack, „Topografia pamięci”)
21. **Emmanuella Robak**  
Żuławski – rzymskie wakacje (Geopoetyka literacka w praktyce)
24. **Artur Zieliński**  
Życie na wiecznej zmarzlinie („Z Projektoem na różnych kontynentach” – Jakucja)
26. **Michał Siedlecki**  
Reportaż o zapomnianych wychodźcach (Aneta Prymaka – Oniszk, „Bieżeństwo 1915. Zapomniani uchodźcy”)

## HISTORIA

27. **Piotr Kardyś**  
Bieda stara jak świat (Magdalena Książek, „Dzieje dobroczynności w Kielcach w XIX i początkach XX wieku”)

## DESIGN

28. **Izabela Łazarczyk-Kaczmarek**  
Naturalne zabawki w kontakcie z przyrodą (Wystawy „Dzikie Dzieci” i „Punkt widzenia” w Instytucie Dizajnu)

## TANIEC

30. **Agata Kulik**  
Wizyta w króliczej norze (Kielecki Teatr Tańca „Alicja w Krainie Czarów”)

## TEATR (DWUGŁOS)

32. **Agnieszka Kozłowska-Piasta**  
Selfie na scenie („Kropka kreska, kropka kreska” w Teatrze im. Stefana Żeromskiego)
33. **Agata Kulik**  
Wielokropek („Kropka kreska, kropka kreska”)

## TEATR

34. **Agnieszka Kozłowska-Piasta**  
Współcześnie i retro („Opowieść o Piotrusiu i Wilku”, „Wojna, która zmieniła Rondo” w Teatrze Lalki i Aktora „Kubuś”)
36. **Paweł Chmielewski**  
Prezydent wita Micka Jaggera (Vaclav Havel, „Utwory sceniczne”)

## MUZYKA

37. **Sylwia Gawłowska**  
Poszukiwacze w lawinie tekstów (Paweł Tański, „Nowe sytuacje polskiego rocka”)
38. **Marta Baran**  
Grać na niewidzialną nutę (Tomasz Jakub Opatka, „Emerge”)
39. **Łukasz Rakalski**  
Nowoczesny jazz liryczny (Jerzy Matek, „Forevelle”)
40. **Miroslaw Krzysztofek**  
I Zappa, i Gainsbourg (Aquaserge, „Laisse ça etre”); It's only rock'n'roll (Crystal Fairy, „Crystal Fairy”)
41. **Piotr Kletowski**  
Wieczny eksperymentator (Ennio Morricone)
42. **Łukasz Szaruga**  
Na ratunek lasom deszczowym (Trent Reznor & Atticus Ross, Mogwai, Gustavo Santaolalla, „Before the Flood”)

## FILM

43. **Piotr Kletowski**  
Wszystko co najważniejsze – w scenariuszu (Martin Schabenbeck, „Format scenariusza filmowego”; Robin U. Russin, William Missouri Downs, „Jak napisać scenariusz filmowy”)
44. **Piotr Kletowski**  
Albo świat, albo Bóg (Martine Scorsese, „Milczenie”)
47. **Piotr Kletowski**  
Bryk (Tomasz Kietbas, „Jak zdać do szkoły filmowej”)

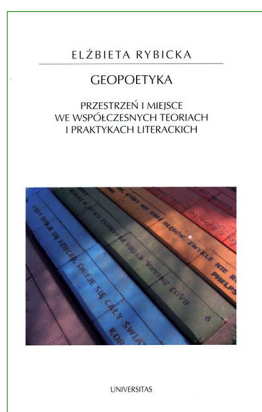
## LITERATURA

48. **Michał Siedlecki**  
Skrwane dzieje Klimontowa (Andrzej Nowak-Arczewski, „Zmitłuj się nad nami”)
49. **Małgorzata Angielska**  
Czerniakowski bard (Bartosz Janiszewski, „Grzesiuk. Król życia”)
50. **Katarzyna Szychowska**  
Mozaikowa dziesiątka (Karolina Bugajska, „Zahaczyć o 10-tkę”)
51. **Dominik Borowski**  
Powrót do podwórkowych gier i zabaw (Katarzyna Piętka, „Gry i zabawy z dawnych lat”)
52. **Aleksandra Sutowicz**  
Na krawędzi fikcji i rzeczywistości (Tadeusz Dąbrowski, „Bezbronna kreska”)

## PLASTYKA

53. **Izabela Łazarczyk-Kaczmarek**  
Półprzezroczysta wizualność (Akwarele Kingi Łopot-Dzierwy w Galerii DST)
54. **Agata Suszczyńska**  
Malarstwo, które wchłania („Jacek Sienicki. Generalia”, Muzeum Narodowe)
56. **Adam Organisty**  
W kręgu krakowskiej figuracji metaforycznej (Damian Bąk, „Dom Praczi”) )
58. **Oliwia Hildebrandt**  
Sztuka inspiracji... (Malarstwo Małgorzaty Bieleckiej, Galeria Uniwersytecka)
59. **Agata Suszczyńska**  
Odległe okiem współczesnym („Nie wszyscy święci”, BWA Kielce)
60. **Oliwia Hildebrandt**  
Od góry do dołu harmonia kontrastów (Doroczna wystawa ZPAF, ZPAF, ZPAR i PSEP, BWA Kielce)





Elżbieta Rybicka  
*Geopoetyka. Przestrzeń i miejsce we współczesnych teoriach i praktykach literackich*  
474 s. ; 21 cm  
Kraków : Wydawnictwo Universitas, 2014  
82(091):82.0

*Współczesną kulturę scala symbol Ziemi.*

Emmanuella Robak

## Podróż w głąb tekstu

Współczesne badania humanistyczne poddają się rozmaitego rodzaju „trendom” (nawet – nie ukrywajmy tego, chwilowym „modom”), które pozwalają odczytywać literaturę na nowo, odkrywać w niej to, co do tej pory było niedostępne dla czytelników, pokazywać jak szerokie konteksty może zawierać tekst. Wśród różnych narzędzi badawczych znajdują się te, które zdecydowanie zasługują na uwagę. Takim narzędziem jest niewątpliwie geopoetyka, która pozwala ukazywać interakcje pomiędzy przestrzenią, tekstem literackim a praktyką czytelniczą.

DŁACZEGO TO WŁAŚNIE GEOPOETYKA stanowi istotne, a zarazem niezmiernie ciekawe narzędzie badawcze? Geopoetyka umożliwia stworzenie strategii działania skłaniającej do właściwego rozumienia kultury obecnych czasów, wyznacza pewne ramy, skłania do refleksji. Jest pewnym stylem myślenia, receptą na przeżywanie świata, systemem filozoficznym, który pozwala poznawać otaczający nas świat nie tylko według pojęć i wzorów, ale także według własnego systemu oparte go na zmysłach, intuicji, przekonaniu czy wierze.

Geopoetyka nigdy nie jest obiektywna, a jej uwaga zazwyczaj skierowana jest na myślenie synkretyczne, na które składać się może np. konkret geograficzny, nauki przyrodnicze, nauki humanistyczne, zagadnienia takie jak: prawda, piękno, tożsamość a także prywatne, podmiotowe odczucia, światopogląd czy refleksje.

Twórcą geopoetyki jest Kenneth White (ur. 1936), który uważa, że jest to przede wszystkim nauka pozwalająca odczytywać symbol epoki. Według badacza współczesną kulturę scala symbol Ziemi, dlatego też White przekonuje, że praca związana z geopoetyką ma poszerzać zmysłową i inteligentną relację z Ziemią, przy czym zaznacza, iż geopoetyka stanowi pole potencjalnej konwergencji nauki, filozofii i poezji.

Na polskim gruncie badaczką, która przybliżyła to pojęcie wraz z teoretyczną podbudową jest Elżbieta Rybicka. W swojej pracy zatytułowanej „Geopoetyka. Przestrzeń i miejsce we współczesnych teoriach i praktykach literackich” – jak sama zaznacza – stara się zarysować założenia przedmiotu i metod geopoetyki jako orientacji badawczej, przy czym dokładnie opisuje przykłady, w których odnaleźć można istotne dla całej metody pojęcia, takie jak m.in. przestrzeń, doświadczanie oraz wpisana weń biografia. To właśnie dzięki geopoetyce można uchwycić np. wartość doświadczania

miejsca czy tworzenia własnych geobiografii, które nabierają znaczenia wyłącznie względem konkretnej lokacji np. miejsca zamieszkania.

Praca została podzielona na sześć części. Część pierwsza ukazuje nowe spostrzeżenia związane z teoriami przestrzeni – od poetyki przestrzeni do polityki miejsca. Druga to dokładna analiza geopoetyki, zarówno pod kątem terminologicznym, jak i teoretycznym. Trzecia pokazuje wspólne pole badań dla geopoetyki i literatury. Kolejna skupia się na zagadnieniu antropologii miejsca, a przede wszystkim porusza ciekawe zjawisko geo(bio)grafii. Część piąta ukazuje relacje pomiędzy pamięcią a przestrzenią, zaś szósta poświęcona jest narracjom lokalnym i regionalnym.

Lektura książki uświadamia nam, że geopoetyka proponuje szereg pojęć, które mogą być przydatne w praktyce interpretacyjnej tekstów podróżniczych: mapy narracyjne, literatura i lektura jako wydarzenie geograficzne, podróże lekturowe, geografia sensoryczna, topografie emotywnie czy literatura jako miejsce pamięci. Dzięki geopoetyce czytanie tekstu może stać się wydarzeniem geograficznym, które pokazuje cyrkulację pomiędzy tekstem, a rzeczywistością. W praktyce czytelniczej oznacza to możliwość odkrywania na nowo miejsc, opisywanych przez różnych autorów (można inaczej spojrzeć na Dublin Jamesa Joyce’a, Londyn widziany oczami Thomasa Hardy’ego, Amerykę Henryka Sienkiewicza, Rzym Jerzego Żuławskiego czy Kielce Stefana Żeromskiego). Narzędzie to stanowi zatem źródło nowych jakości odczytywania podróży, niedostępnych dla zwykłego „beadekerowca”.

I jeśli to wszystko nie wystarczy, bardzo bogata bibliografia umieszczona na końcu książki oraz aneksy, pozwalają sięgnąć do kolejnych źródeł, w których można odkrywać możliwości tkwiące w geopoetyce. ■



Piotr  
Kardyś

**W Muzeum Historii Kielc – w oparciu o eksponaty Muzeum Tatrzańskiego – można obejrzeć ciekawą wystawę poświęconą mało znanym dokonaniom Bronisława Piłsudskiego, brata marszałka Józefa Piłsudskiego. Może powinienem jednak napisać, że „mało znanym” niefachowcom, bowiem w kręgach etnografów pozostaje już od początku XX w. osobą o uznanym dorobku naukowym.**

# Proniswahu Piwsuciki – król Ajnów

WYPADA ZATEM POSTAWIĆ PYTANIE, jak doszło do tego, że chłopak z Litwy został królem Ajnów, ludu zamieszkującego odległy o tysiące kilometrów Sachalin.

I jak zwykle w przypadku zakręconej polskiej historii, stykamy się i tym razem z młodzieńczym buntem, zainteresowaniem działalnością terrorystyczną i hasłami komunistycznymi, tak typowymi dla polskiej młodzieży dorastającej i studiującej w carskiej Rosji. Bronisława, studenta Uniwersytetu Sankt-Petersburg aresztowała policja z bombą, przygotowanego do zamachu na cara Aleksandra III (1887). Piłsudski skazany został na karę śmierci, zamienioną przez tegoż cara na 15 lat katorgi na Sachalinie. Paradoksalnie był to początek jego naukowej kariery.

Żywiotowa natura, otwartość na innych i ciekawość świata popchnęły go do zainteresowania się kulturą rdzennej ludności „Wyspy Katorżników”. Ajnowie, Niwchowowie (Gilakowie), Orokowowie, Mangunowowie byli bohaterami jego zdjęć, opisów i miłości. Poślubił bratanicę wodza Ajnów – Chuhsammę, z którą miał syna i córkę. Ślub odbył się według miejscowych zwyczajów. Szczególne zasługi położył w zarejestrowaniu i zachowaniu kultury Ajnów, ginącego ludu kojarzonego przede wszystkim z Japonią.

Interesował go ich archaiczny język, obyczaje, tradycje. O znaczeniu jego badań i dorobku, który pozostawił, świadczą pomniki na Sachalinie i w Japonii. Renomowane międzynarodowe wydawnictwa dokonują od lat krytycznych edycji jego dzieł.

Następnym epizodem – po wyjeździe z Sachalina przez Japonię (gdzie, nadal pracował nad folklorem Ajnów na Hokkaido) do Europy – było Zakopane. W latach 1906-1914 aktywnie działał na rzecz ludoznawstwa i zachowania folkloru Podtatrza, Orawy, Spiszu. W roku 1911 doprowadził do powstania Sekcji Ludoznawczej Towarzystwa Tatrzańskiego. Mieszkał wówczas w Zakopanem, Krakowie, Lwowie, Limanowej, wyjeżdżał do Szwajcarii, Belgii, Francji, Austrii, Czech i Anglii. Było to zarówno efektem uznania jego dokonań na polu badań etnologicznych i językowych, jak i związane z poratowaniem zdrowia. Liczne publikacje umożliwiły mu nawiązanie kontaktów w środowiskach naukowych. Rozpoczął prace nad zgromadzeniem materiału do planowanego periodyku „Rocznik Podhalański”, który udało się wydać już po jego śmierci, po I wojnie światowej, w 1921 roku.

Dopiero w 1912 r. wydał książkę poświęconą językowi i folklorowi Ajnów w języku angielskim, co



Anioł, rzeźba z nieistniejącego już kościoła w Chochołowie, XVIII w.





przyniosło mu międzynarodową sławę („Materials for the Study of the Ainu Language and Folklore”, PAU, Kraków 1912). Po wybuchu I wojny światowej wyjechał do Francji, zginął w Paryżu śmiercią samobójczą w 1918 r., pochowany został na cmentarzu Montmorency.

Co zatem ciekawego na wystawie? Przede wszystkim kolekcja fotografii Gilaków i Ajnów z przełomu wieków XIX i XX. Niezwykły zapis tamtej codzienności, ze „swoistą” modą, wnętrza domów na Sachalinie, raczej

## Jak chłopak z Litwy został królem na Sachalinie.

niezbyt uśmiechnięte dzieci (zapewne ich samopoczucie kształtowały trudy codziennego życia) w towarzystwie samego Bronisława, dorośli przy typowych dla nich zajęciach, wyroby rzemiosła ajnuskiego, które udało mu się przywieźć do Polski (m.in. taca, misa, miecz, przyborek, tradycyjny strój; także watek fonograficzny z zapisem mowy ajnuskiej). Wyeksponowano ponadto fragmenty jego rękopisów, fotokopię portretu autorstwa

Witkiewicza, portret w stroju ajnuskim, publikacje bohatera wystawy i opracowania jego dotyczące.

Potowę ekspozycji – o ile w przypadku wystawy można użyć takiego określenia – zajmują zbiory zakupiańskie, w tym szczególnej urody zdjęcia jego przyjaciół i współpracowników, jakby odkrywał swoją drugą Amerykę (pierwszą byłby Sachalin) wśród zamieszkujących Podtatrze. Także sporo eksponatów, mogących kojarzyć się z nowoczesnym designem. Już na wejściu zwrócił moją uwagę przepiękny miedziany kociotek z Podhala, a dalej zbiór wyrobów kowalskich, obrazy na szkłe, rzeźby w drewnie, galanteria metalowa i wiele innych.

Całość ekspozycji uświadamia, jak szerokie zainteresowania miał Bronisław, i jak wiele wycucia, aby w nie tak oczywistym momencie gaśnięcia tamtego świata, rejestrować jego dorobek materialny i duchowy. Ostatnim epizodem zwiedzania, podsumowującym jego wkład w etnografię jest film z uroczystości odsłonięcia pomnika „Proniswahu Piwsuciki” w mieście Shiraoi na wyspie Hokkaido w 2013 r. W uroczystości wzięli udział potomkowie Bronisława, pochodzący po kądzieli od Chahsummy.

Całość nie epatuje mnóstwem opisów i faktów z życia bohatera, raczej pokazuje, jakie były jego fascynacje. Z pewnością warto spróbować je poznać i zrozumieć. ■



Adomas Varnas  
Bronisław Piłsudski w stroju Ajnów, 1912

Artur Wabik **Brama do Europy**

**W Polsce mieszka obecnie około 1,5 miliona Ukraińców, z których większość przyjechała do nas w ciągu ostatnich trzech lat. Z jakim wyobrażeniem przybyli do Polski? Czy przyciągała ich wyłącznie wizja wysokich zarobków, czy też w jakiś stopniu polska kultura? Czy czytają polskie powieści, słuchają polskiej muzyki, grają w polskie gry wideo? Jesteśmy sąsiadami, lecz ciągle niewiele wiemy o swoich upodobaniach.**

ZDECYDOWANA WIĘKSZOŚĆ UKRAIŃSKICH emigrantów zarobkowych nigdy wcześniej nie opuszczała terytorium Ukrainy. Jednak polski język i kultura są w tym kraju powszechnie znane. Wspólna, momentami niezwykle skomplikowana historia tych państw spowodowała, że Polska jest dla Ukrainy najbliższym kulturowo krajem Unii Europejskiej; prawdziwą bramą do Europy. Jednak w odróżnieniu od emigrantów z krajów arabskich, dla Ukraińców Polska nie jest jedynie krajem tranzytowym, z którego próbują jak najszybciej przedostać się do Niemiec lub Szwecji. Dla większości jest to punkt docelowy, szczególnie odkąd pokonanie trasy kolejowej Przemysł-Kijów zajmuje mniej niż siedem godzin. Jednocześnie Polska jest zarazem blisko i bardzo daleko, ponieważ nie każdy Ukraińiec może liczyć na wizę do naszego kraju.

W większości rozmów z Ukraińcami mieszkającymi w Polsce przewija się ten sam wątek: niemal wszystkich zaskakuje stan polskich dróg. I nie chodzi tutaj o pobocza, zatoczki, miejsca obsługi podróżnych czy telefony, z których można w razie wypadku wezwać pomoc. Największe wrażenie robią na nich sprawy prozaiczne: brak dziur i fakt, że drogi mają namalowane pasy rozdzielające jezdnie. Żyjąc na co dzień w Polsce nie zdajemy sobie sprawy z tego, jak bardzo infrastruktura drogowa zbliżyła się tu do europejskich standardów. Jeśli ktoś chciałby sobie przypomnieć jak wyglądała jeszcze 20 lat temu, wystarczy wybrać się na Zakarpacie lub w okolice Lwowa. Przykładowo: na przejechanie 130-kilometrowego odcinka ze Lwowa do Ustrzyk Dolnych warto zarezerwować sobie pół dnia.

**„OJCIEC MATEUSZ” – OKNO NA ŚWIAT\***

Zanim nasze kraje połączył szybki pociąg, a do granicy w Korczowej dociągnięto autostradę A4, na Ukrainę docierały bez przeszkód jedynie sygnały telewizyjne i radiowe. Ukraiński artysta pochodzący z rejonu Sokalskiego, Vova Vorotniow opowiada mi piękną polszczyzną, że języka nauczył się w latach 90. sam, z telewizji. Przez wiele lat we Lwowie i na całej Zachodniej Ukrainie można było bez problemu złapać sygnał naziemnej telewizji analogowej. Starsze pokolenie do dziś bardzo lubi polskie seriale, wśród których

największą furorę robią obecnie „Ojciec Mateusz” i „Mitość nad rozlewiskiem”. Ze względu na powszechną, dobrą znajomość języka polskiego, seriale nie wymagają tłumaczenia, ale np. „Czas honoru” jest pokazywany w telewizji ukraińskiej w języku ukraińskim.

Podobnie jak nasze wyobrażenie o Ameryce kształtowały w latach 90. seriale telewizyjne dla młodzieży i telenowe, pokroju „Beverly Hills 90210”, „Dallas” czy „Dynastii”, tak Ukraińcy dużą część wiedzy o Polsce czerpią ze swojej telewizji. Do niedawna jeszcze były to tytuły z recyklingu. Podczas mojej pierwszej wizyty w Kijowie, w 2005 r. w ukraińskiej telewizji leciał właśnie serial „Matki, żony i kochanki”, którego emisję w Polsce zakończono siedem lat wcześniej. Obecnie funkcję tę przejmuje Internet, z którego treści przyswajane są w czasie rzeczywistym. Mieszkający na stałe w Polsce ukraiński fotoreporter, Dmitriy Kutz mówi, że dawniej polska popkultura miała znaczący wpływ na Ukraińców, szczególnie na Zachodniej Ukrainie, ale odkąd jest dostępniejsza za pośrednictwem Internetu, przestała być aż tak atrakcyjna.

**WIŚNIEWSKI, TOKARCZUK I MOCK**

*Polska popkultura jest mało znana na Ukrainie – mówi Taras Nazaruk, dziennikarz, który studiował we Wrocławiu – wciąż jesteśmy mocno zakotwiczeni w polu działania kultury rosyjskiej, mimo że to też się obecnie zmienia. Po części jest tak, że o kulturze polskiej wiemy coś poprzez kulturę rosyjską. Na przykład: wszyscy znają Barbarę Brylską albo Annę German, ponieważ były one znane w Związku Radzieckim. Ten mechanizm działa do dziś. W sondzie ulicznej na temat znanych Polaków, przeprowadzonej na ulicach Moskwy, stosunkowo często pada nazwisko Janusza Wiśniewskiego, autora książki „Samotność w sieci”. To właśnie dzięki ogromnej popularności w Rosji, książka ta ukazała się w 2006 r. także na Ukrainie i Litwie.*

Polska literatura współczesna jest bez wątpienia jedną z najsilniejszych polskich marek obecnych na Ukrainie. Dobrze znane są tu m.in. książki Marka Krajewskiego o przygodach Eberharda Mocka, książki dla dzieci i młodzieży Joanny Jagiełto, a także proza

Olgi Tokarczuk. *Jeśli chodzi o konkretne gatunki, to staraniem grona ukraińskich pisarzy w ostatnich latach została mocno spopularyzowana polska literatura faktu* – mówi Nazaruk, po czym dodaje – *To jest moim zdaniem coś odkrywczego dla Ukrainy, która nie ma tak bogatej tradycji reportażu. Trafiło to na podatny grunt i dzięki temu taka szkoła reportażu właśnie się u nas kształtuje*. Zapytana o to samo Iryna Vykarchak, związana z kijowskim festiwalem opowiadania „Intermezzo”, wskazuje właśnie na festiwale literatury jako najważniejsze wydarzenia w polskiej kulturze, których echa docierają na Ukrainę.

## ADAŚ MIAŁCZYŃSKI – POSTAĆ KULTOWA

Nazaruk wspomina, że jeszcze przed wyjazdem do Polski polubił polską muzykę i kinematografię. *Pamiętam, że na początku zastuchiwałem się w płytach Marii Peszek i Czesława Mozila, które zresztą do dziś lubię. „Chtopaki nie płaczą” czy „Dzień Świra” w pewnym momencie stały się filmami kultowymi także u nas* – opowiada zaznaczając, że będąc w Polsce telewizję oglądał dosyć rzadko. *Oglądałem za to różnych youtuberów: „Abstrahuje” mieli szczególnie ciekawy format. Niektóre przyzwyczajenia pozostały mi nawet po powrocie do domu – TOK FM nadal słucham niemal codziennie. W tym roku pierwszego stycznia spędziłem słuchając Listy Przebojów Trójki. Z pewnością polska kultura stała się częścią mojego życia*.

Jak się okazuje stosunek do polskiej kultury może mieć wiele wspólnego z miejscem zamieszkania. Dmitrij Kutz przyznaje, że polska muzyka i kinematografia fascynowały go głównie przed wyjazdem do Polski. *Teraz, kiedy mieszkam na stałe w Polsce, to nic nowego w muzyce nie odkryłem. Telewizji w ogóle nie oglądam, a polskie kino schodzi generalnie na psy, pomimo Oscara dla „Idy”* – podsumowuje gorzko. Zapytany o najsilniejsze polskie marki kulturalne wymienia polskie zespoły metalowe: Vader i Behemoth, a także grę wideo „Wiedźmin”. Ta ostatnia jest obecnie bez wątpienia najbardziej znanym polskim produktem na świecie, ale trzeba pamiętać, że proza Andrzeja Sapkowskiego była bardzo popularna w krajach rosyjskojęzycznych już pod koniec lat 90. XX w. Oczywiście sukces gry wyniósł popularność „Wiedźmina” na zupełnie nowy, liczony w milionach sprzedanych kopii poziom.

## „MODULOR” NAS OŚMIESZA!

Najbardziej rozpoznany przez Ukraińców segment polskiej kultury jest sztuka współczesna. Trudno

się temu dziwić, skoro nawet w naszym kraju znajomość rodzimych twórców należy do rzadkości. Od czasu do czasu ukraińską debatą publiczną wstrząsają mniejsze lub większe skandale wywołane przez współczesnych artystów, w tym niekiedy przez Polaków. W 2016 r. punktem zapalnym stał się mural autorstwa Sławomira „Zbioka” Czajkowskiego, wykonany w Lwano-Frankiwsku. Konceptualne malowidło przedstawia trzy schematyczne figury, będące wariacją na temat „Modulora” Le Corbusiera. Mural został odebrany przez lokalną społeczność i władze miasta jako prowokacja, kpina artysty i celowa próba ośmieszenia Ukrainy. W Internecie szybko pojawiły się złośliwe memy z murem, dowodzące całkowitego niezrozumienia intencji autora.

Efektom zamieszania wokół pracy Czajkowskiego było powołanie w Lwano-Frankiwsku instytucji plastyka miejskiego, który obecnie decyduje o tym, jakie działania artystyczne mogą być prezentowane w przestrzeni publicznej. Z podobną sytuacją spotkałem się osobiście cztery lata wcześniej w Ługańsku. Tam także rozgo-

## zarazem blisko i bardzo daleko

rzała dyskusja – już nawet nie nad formą plastyczną, ale w ogóle nad zasadnością wykonania muralu. Część mieszkańców i lokalnych władz była temu zdecydowanie przeciwna, co doprowadziło do klinczu i wstrzymania prac. Podział odpowiedzialności za kształt przestrzeni publicznej – pomiędzy władzę a obywateli – jest na Ukrainie stosunkowo nowym zjawiskiem, które zbiega się z kształtowaniem się społeczeństwa obywatelskiego.

W dużych miastach narasta poczucie, że warto dbać o otoczenie, czego najlepszym przykładem jest gwałtownie zmieniająca się kijowska dzielnica portowa – Padół. Dużym zainteresowaniem cieszą się wystąpienia polskich architektów, urbanistów i aktywistów dotyczące partycypacyjnego projektowania przestrzeni publicznej. Jednym z najczęściej wymienianych atutów życia w Polsce jest estetyka otoczenia: proste chodniki, równo przyszyte trawniki, rozsądnie rozmieszczone kosze na śmieci, czyste dworce, przystanki i ławki. Te rzeczy wydają się oczywiste, ale z ukraińskiej perspektywy robią kolosalną różnicę. Podobnie jak fakt, że środki komunikacji publicznej kursują o czasie. Wygląda więc na to, że to nie kultura wysoka, ani kultura popularna, a kultura życia codziennego najmocniej przyciąga Ukraińców do Polski. ■

\*Śródtytuły pochodzą od redakcji



# Wszechstronność formy i tematu

Izabela Łazarczyk-Kaczmarek

**Patrząc na ostatnie kilka miesięcy działalności członków ZPAF Okręgu Świętokrzyskiego dostrzeżemy przede wszystkim udział w szeregu wystaw organizowanych w Kielcach i regionie. Na wystawach towarzyszących konkursowym przeglądom: „Przedwiośnie” czy „XVII Biennale Krajobrazu – Space Definition” pojawiają się od lat te same nazwiska, często wielokrotnych laureatów kolejnych edycji.**

W TYM PRZEGLĄDZIE DOKONAŃ świętokrzyskich fotografików nie sposób nie zauważyć sylwetki Piotra Bieńka, który w 2016 r. otrzymał nagrodę w konkursie Px3-RED w kategorii „Advertising Profesional”, podwójne wyróżnienie w Moscow International Foto

Awards (MIFA) czy też prezentował swoje prace, z cyklu „Mikroświaty” podczas XIII Nocy Muzeów, w muzeum Historii Fotografii w Krakowie. Wystawa ta była prezentacją bardziej z zakresu fotografii eksperymentalnej (ukazywała widziane przez mikroskop polaryzacyjny kryształy różnych substancji) niż zdecydowanie klasycznej czy po prostu cyfrowej. Bardziej jako ciekawostka i dekoracyjna w formie, niż znane nam propozycje fotograficzne członków regionalnego ZPAF prezentowane w ostatnim czasie. Zwracające jednak uwagę feerią barw i abstrakcyjną formą zdjęcia pokazują nieco inną stronę sztuki.

Wieloma sukcesami może pochwalić się również inny członek świętokrzyskiego związku Tomasz Grzyb. Fotografik znany m.in. z niezwykle nastrojowych, budowanych światłem zdjęć pejzażowych w 2016 r. uczestniczył w licznych pokonkursowych wystawach na świecie – Macedonii, Czechach, Indiach Bośni i Hercegowinie. Wystawa „Czarne i białe” w Galerii Libra w Szczecinie, prezentująca fotografie stworzone w duecie z Andrzejem Borowcem. To „czarne” zdjęcia Grzyba i delikatnie „białe” Borowca pokazujące jak niewielkim „monochromatycznym” zabiegiem można stworzyć ciekawą wystawę. Pełną nastrojowości, ulotności i piękną pejzażu

W podobnej tonacji czerni i bieli zaprezentował swoje fotografie Paweł Opaliński na wrocławskiej wystawie „Searching God in the fog”. Na wielkoformatowej panoramicznej fotografii „zatrzymał” w kadrze górski pejzaż. Opaliński, laureat wielu konkursów „z górami w tle”, m.in. Międzynarodowego Biennale Fotografii Górskiej czy Międzynarodowego Konkursu „Krajobraz Górski” im. J. Sunderlanda, stara się pokazać duchowość, mistycyzm a czasem nadrealność górskich krajobrazów. Jego uwagę przykuwa motyw drogi wijącej się na górskich przetęczach, drogi prowadzącej na szczyt. Artysta buduje analogie do drogi w nieznanne, drogi życia, próbując pokazać krajobraz górski nie tylko ze względu na jego oczywiste piękno.

Podobnie i Krzysztof Muskalski, wystawą „Grenlandia – kolorowy odcień bieli”, porusza temat krajobrazu. Jak sam tytuł wystawy wskazuje, będzie to opowieść o Grenlandii, o lodowcach i o kolorach, które odkrywamy wiosną w okolicach Zatoki Baffina. Historia pokazująca mniej oczywisty obraz tej największej wyspy. Nieco surrealistyczny na niektórych fotografiach, lecz równie zachwycający przyrodą tundry.

Kolejną wystawą, w której świętokrzyscy fotograficy zaznaczyli swoją obecność to Krajowy Salon



Fot. Krzysztof Muskalski



Fotografii Artystycznej Żary 2016. Konkurs i wystawa mają na celu zaprezentowanie – zdaniem organizatorów – kondycji polskiej fotografii artystycznej oraz konfrontację osiągnięć artystów reprezentujących wszystkie kierunki, tendencje oraz techniki. W konkursie tym Krzysztof Zając otrzymał pierwszą nagrodę za zestaw prac „Nowy świat”. Ten sam fotografik prezentował swoje prace na Międzynarodowym Konkursie Cyfrowej Fotokreacji „Cyberfoto XVIII” czy też na Przeglądzie Fotografii Współczesnej Białostok oraz

**od czysto estetycznych doznań  
po tematy zaangażowane  
politycznie**

Genius Loci w Galerii Starej ZPF w Warszawie. Na tejże wystawie swoje fotografie pokazywała również Stanisława Zacharko-Łagowska, dyrektor BWA w Kielcach. Wystawa próbująca pokazać „ducha miasta” Łodzi z wszystkimi odcieniami i niuansami towarzyszącymi ludziom, architekturze czy specyfice samego miasta.

Ta sama artystka, zaprezentowała cykl fotografii „Boża Sprawa!” na wystawie w Galerii Fotografii Miasta Rzeszowa. Wykonane w 2011 roku fotografie to zapis zauważonych na ulicy we Lwowie fragmentów ulotki, na których uwagę fotograficzki zwróciły dwa tytułowe słowa. Napis ten pokazywany jest w kontekście ulicy Iwana Franko i Mendelejewa, ludzi, którzy zostali zatrzymani w kadrze oraz fragmentów architektury. Te dwa słowa posłużyły do nadania nowego kontekstu miejscom, przedmiotom, poprzez naklejenie ulotki z „bożą sprawą”.

Również w Rzeszowie, tym razem w Galerii Nierzeczywistej w lutym 2017 r., swoje fotografie „W kamieniu zaklęte” wystawiła Joanna Maria Klich. Inspiracją do pokazywanego cyklu był między innymi Festiwal Krzemienia Pasiastego w Sandomierzu w 2013 r. Artystka inspirując się fakturą, kolorem tworzy abstrakcyjne, często malarskie obrazy fotograficzne nie przywodzące na myśl krzemienia pasiastego w jego naturalnej formie.

Sebastian Klochowicz, na warszawskiej wystawie „Dekonstrukcje” pokazuje Radom. Jednak obraz miasta nie jest po prostu zapisem dokumentalnym radomskiej architektury, lecz artysta stara się pokazać jej nieco inny wymiar wybierając do tego analogową fotografię.



Fot. Sebastian Klochowicz



Naświetlanie wielokrotnie jednej klatki, multiplikowanie obrazu ma zdaniem fotografika pokazać inne spojrzenie na to, co znane mu z codzienności.

Kolejny raz Radom, tym razem jako miejsce wystawiennicze pojawia się na mapie wystaw członków świętokrzyskiego ZPAF, dzięki wystawie Przemysław Barańskiego „Ściana” w Avalon Studio. Pokazywane na wykonanych techniką gumy fotografiach wycinki, fragmenty architektury, przefiltrowane przez charakterystyczne dla tej techniki efekty zdają się być pretekstem do pokazania samej „gumy”, pozwalającej na stworzenie swoistej nastrojowości i malarskości wybranych przez autora fragmentów i detali.

W kategorii fotoreportażu na wystawie Grand Press Foto, prezentował swoje prace Jakub Ochnio (odznaczony w 2016 r. Odznaką Zastufzonego dla Kultury Polskiej). W kategorii „Życie codzienne”, pokazał cykl poświęcony Ukrainie, a dokładniej linii frontu biegnącej przez miasta. Konkurs ten prezentuje prace profesjonalnych, zawodowych fotoreporterów pracujących w redakcjach internetowych, prasowych czy też agencjach fotograficznych. Pokazywane zdjęcia dokumentują najważniejsze, często tragiczne wydarzenia na świecie. Konkurs ten, podobnie jak wiele innych, również międzynarodowych, w których jest nagradzany Ochnio

pokazuje reportersko-dokumentacyjny wątek w twórczości tego młodego fotografika.

Spojrzenie nieco w innej skali – w każdym razie, jeśli chodzi o format – prezentowała Irena Gatuszka, znana kielczanom chociażby z jednej z listopadowych wystaw w BWA. Na 9 Międzynarodowym Biennale Miniatury w Częstochowie, w formacie 10 x 6 cm proponowała pracę „Zakodowana”, nawiązującą do cyklu „Martwe Dusze”, przedstawiającego nagie manekiny. Wystawa ciekawa, nie tylko ze względu na format, ale przede wszystkim na różnorodność mediów, w których wypowiedzieli się artyści zakwalifikowani do wystawy. Malarstwo, rysunek, grafika i oczywiście fotografia „walczyły” o możliwość zaprezentowania własnej niewielkiej w formacie wypowiedzi.

Patrząc na działalność fotograficzną członków ZPAF Okręgu Świętokrzyskiego zwraca uwagę wszechstronność tematów. Od czysto estetycznych doznań krajobrazu, czy abstrakcyjnych form po tematy zaangażowane politycznie czy też pokazujące kondycję człowieka w otaczającym nas świecie. Wystawy opisane powyżej to wybór ekspozycji fotograficznych poza naszym regionem, jednak bez uwzględniania międzynarodowych sukcesów, których w dorobku naszego związku jest niemało. ■



# Obecność w kulturze

Martyna Musiał

Trudno przewidzieć, czym może skończyć się przypadkowe spotkanie – czy przejdzie bez echa, czy też wpłynie na całe życie? Spotkaniem, które okazało się ważne, była wizyta grupy młodych ludzi z teatru STS, którzy wybrali się do Francji na winobranie, w posiadłości w Maisons-Laffitte, gdzie mieściła się paryska „Kultura” – legendarne, przeciwne reżimowi komunistycznemu czasopismo, któremu przewodził Jerzy Giedroyc.

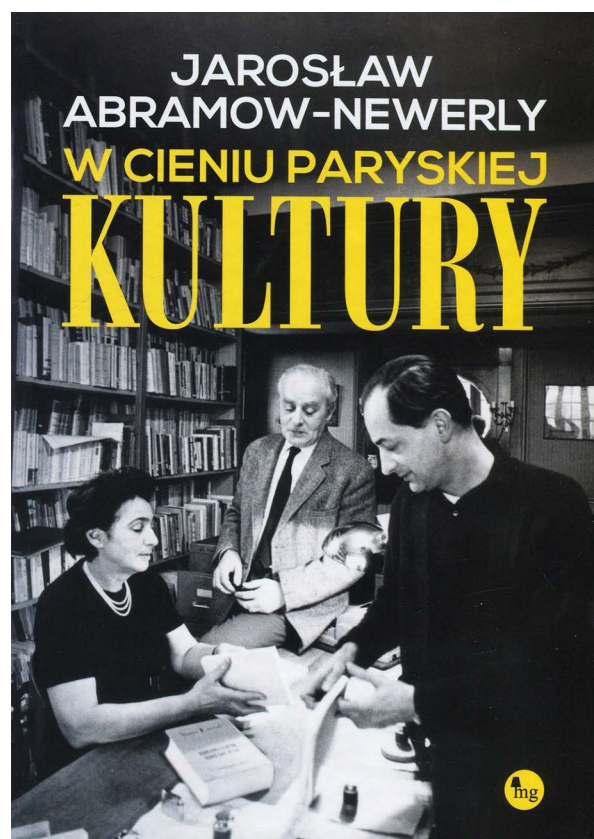
ODWIEDZINY W REDAKCJI MOGŁYBY przecież zostać zapomniane, jednak stały się początkiem wieloletniej przyjaźni. Píše o niej Jarosław Abramow-Newerly w autobiograficznej książce „W cieniu paryskiej Kultury”.

Newerly z sentymentem opowiada o swojej młodości. Mówi o STS, pracy twórczej – zarówno w charakterze dramaturga, satyryka czy autora piosenek, o znanych artystach, elicie ówczesnego świata kulturalnego, a także o codziennym życiu literata w PRL-u i licznych zagranicznych wjazdach. Wciąż jednak wraca do Maisons-Laffitte i jego mieszkańców, a więc Jerzego Giedroycia, jego brata Henryka, Marii i Józefa Czapskich, a także Zofii i Zygmunta Hertzów. Przyjaźń z nimi, a w szczególności z Zygmuntem Hertzem, miała niemały wpływ na rozwój Abramowa-Newerlego, zarówno jako artysty-literata, jak i człowieka.

Pobyt wśród twórców „Kultury” był okazją do porównania codzienności kraju komunistycznego z wolnym życiem na Zachodzie, skonfrontowania z rzeczywistością mylnych wyobrażeń i wiadomości przekazywanych przez organy propagandowe o „tamtym” świecie, w końcu zestawienia przeciwstawnych ideologii czy metod pracy. Ale umożliwiał też branie udziału w dyskusjach politycznych i kulturalnych, nie tylko z mieszkańcami Maisons-Laffitte, ale też ich wybitnymi gośćmi, wśród których znaleźli się między innymi Czesław Miłosz czy Gustaw Herling-Grudziński. Z perspektywy

Wizyta  
w Maisons-  
-Laffitte

Jarosław Abramow-Newerly  
„W cieniu paryskiej „Kultury”  
193 s., 24 cm  
Kraków: Wydawnictwo M.G., 2016  
821.162.1(091)19:929-051(438)19”



czytelnika interesujące wydaje się również powszednie życie redakcji, na przykład opis zmywającego naczynia redaktora Giedroycia.

Paryscy przyjaciele Abramowa-Newerlego, mimo swojego niewątpliwego wpływu na autora, nie są jednak jedynymi bohaterami tej autobiografii. Pisarz opowiada o rodzicach, żonie i znanych twórcach – jak choćby o Agnieszce Osieckiej czy Pawle Jasieńczy. Wspomina istotne wydarzenia mające wpływ na losy kraju, ale też nie ukrywa, że wciąż toczyło się zwykłe życie – wystawiano sztuki w teatrach, organizowano koncerty, występy kabaretowe. Był to dobry czas dla artystycznych poczynąń. Owszem, działała cenzura, ale na szczęście nie zawsze była restrykcyjna – czasem wystarczyło zmienić niewiele, a widownia wciąż mogła się zorientować, jaki był zamysł i przekaz twórcy.

„W cieniu paryskiej Kultury” to zdecydowanie ciekawa książka. Przemyślana, opowiadająca o interesujących ludziach i wydarzeniach, pełna dotyczących ich anegdot, a przy tym wszystkim lekka w odbiorze i, co dla niektórych może mieć spore znaczenie, ładnie wydana. Czas poświęcony na lekturę na pewno nie okaże się stracony. ■



Artur Zieliński

## Dwa lata wśród pingwinów

Obszary polarne zajmują około dziesięciu procent powierzchni naszej planety, ale mają fundamentalne znaczenie dla całego ziemskiego globu. Stanowią niepowtarzalne punkty odniesienia dla różnych lądowych i nawet kosmicznych zjawisk. Są także ogromną skarbnicą wiedzy o przeszłości świata.



**PRZEZ SWĄ NIEDOSTĘPNOŚĆ** i wyjątkową specyfikę Arktyka i Antarktyka były dla człowieka najdłużej tajemnicze. Przyciągały jednak ludzi z różnych powodów. Z jednej strony chodziło o odkrywanie nowych lądów, z drugiej oczekiwano szybkiego zysku (wyprawy wielorybnicze, łowieckie, poszukiwanie złóż surowców naturalnych itp.). W te strony ciągnęto też ludzi z chęci rozwikłania wielu zagadek geograficznych i tajemnic naukowych.

Współcześnie obszary polarne są dobrymi przykładami przestrzeni, na których może intensywnie rozwijać się międzynarodowa naukowa współpraca. Są też na tyle ekscytujące, że odwiedzane są przez coraz większą liczbę ludzi, zazwyczaj bardzo bogatych turystów żądnych mocnych wrażeń i przeżyć.



Miałem okazję zasmakować nieco takiego świata polarnego uczestnicząc w Ekspedycji Antarktycznej Polskiej Akademii Nauk. Wyprawa trwała prawie 16 miesięcy. Przez ten czas moim domem była Polska



**międzynarodowa naukowa  
współpraca i wiatr – 76 m/s**



Stacja Antarktyczna zlokalizowana na wyspie Króla Jerzego w archipelagu Szetlandów Południowych.

Wszystko, co do życia było potrzebne musieliśmy zabrać z Polski. Najważniejsza była żywność. Z jej

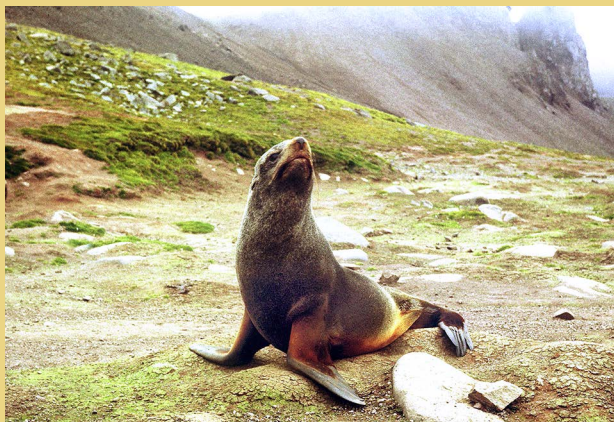
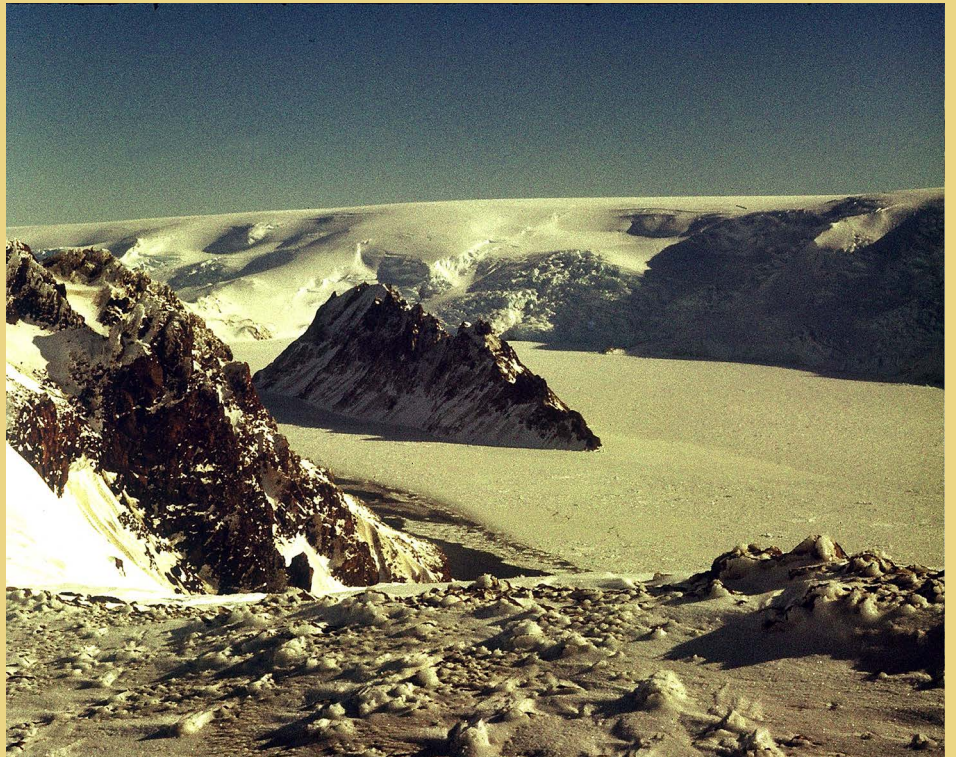




przechowywaniem na wyspie nie było problemów. Mieliśmy specjalne kontenery. Trudno jednak było przez tak długi czas zachować świeżość niektórych produktów.

Dla poczucia większego bezpieczeństwa budynki stacji były od siebie nieco oddalone. Wszystkie postawione były na betonowych blokach. W budynku mieszkalnym każdy z nas miał maleńki, samodzielny pokój.

Było nas wszystkich dziewiętnastu. Warunki klimatyczne były ciężkie. Nie przerażały nas niskie temperatury. Do nich można było się przyzwyczaić. Niepokój, a czasami grozę stwarzały bardzo silne wiatry. Pamiętam, że jeden z podmuchów zniszczył nam maszt pomiarowy. Zerwał stalowe liny, które



szerokościach. Nie ma też owadów. Świat zwierząt jest jednak dość bogaty jedynie w strefach nadbrzeżnych. Najczęściej spotykałem słońce morskie, foki, ucharki oraz różne gatunki pingwinów.

Jest to świat dziewiczy, w porównaniu z innymi obszarami w minimalnym stopniu zdegradowany przez człowieka. Jego naturalne odizolowanie, uwarunkowane geograficznie stworzyło niezwykłą specyfikę tego miejsca, która może zauroczyć i zafascynować niejednego człowieka. ■

Tekst jest streszczeniem wykładu wygłoszonego w ramach cyklu spotkań – organizowanych w klubie „Kottownia” w Bazie Zbożowej



go stabilizowały. Wyrwał też z ziemi blok betonowy, do którego ten maszt był przytwierdzony. To sprawił podmuch, którego prędkość zapisała się wartością wynoszącą 76 m/s. Nie mam pojęcia ile szkód byłoby, gdyby z taką siłą zawiato nad Kielcami – strach nawet pomyśleć.

Trafiały się też okresy względnego spokoju. Podczas, bardzo krótkiego lata antarktycznego, na enklawach wolnych od pokrywy lodowej szybko zakwitaty jedyne dwa gatunki roślin kwiatowych występujące w Antarktyce. Natomiast w okresie zimy dominowała wszędobylska biel.

Mimo surowych warunków środowiskowych nikt z nas nie chorował. W opisywanym rejonie nie ma w zasadzie tylu bakterii ile bytuje w niższych



Fot. Artur Zieliński





# Kirgiz zszedł z konia?

Dorota Nowak-Baranowska

– Po prawej stronie drogi jest Kirgistan, a po lewej to już Uzbekistan. Tam nie wolno, żołnierze stoją i mogą strzelić. Ale tu, u nas, jest bezpiecznie i swojsko. Wszystko mamy. Arbuzy, melony, jabłka – słodkie, naturalne, pyszne, a nie jakieś chińskie podróbki.

TAKICH CIEKAWOSTEK DOWIEDZIELIŚMY się od naszego pierwszego kierowcy, który z fasonem zatrzymał się po nas na stacji benzynowej na wylocie z Osza, na głównej drodze na Biszkek. Inni kierowcy byli nie mniej wylewni, a „pan od arbuzów” był doskonałym początkiem autostopowych wojaży po Kirgistanie i Tadżykistanie. Gdy z kolejnym kierowcą, tym razem tira, zaczęliśmy kierować się na północ, żółte pola i pagórkowaty krajobraz zaczęły ustępować miejsca coraz wyższym pasmom górskim.

– Jeszcze tydzień, góra dwa i już się tędy nie przejeździe. To znaczy, niektórzy i tak będą jeździć – co mają zrobić? Z czegoś trzeba żyć. Jednak jeśli ktoś nie musi, to do maja zaprzestanie 800-kilometrowych kursów Biszkek-Osza, które zimą mogą zająć nawet całą dobę.

Dojechaliśmy do Toktoguła, czyli miasteczka dokładnie w połowie trasy. Tu wiele tirów robi sobie przystanek. Niektórzy cieszą się z pokonanych dopiero co *pieirewatów* (przetęczy) na wysokości niemal 3000 m n. p. m., a ci, co jadą z południa, mentalnie przygotowują się na czekające ich karkotomne serpentyny. W Toktogulu

jest stacja benzynowa, wulkanizator, kilka warsztatów samochodowych z wywieszonym szyldem i pewnie drugie tyle punktów nieoficjalnych. Zresztą, aby mieszkać w Toktogulu raczej trzeba znać się na samochodach. W tej dość smętnej miejscinie wszyscy kierowcy dopompowują kota, sprawdzają światła (bo przed nimi długie, kompletnie nieoświetlone tunele), naciągają pasek klinowy, a zimą często zakładają łańcuchy. Na wylocie jest jeszcze punkt z *maslem* (czyli olejem) i *antifrizem* (płynem do spryskiwaczy), który jednak kupują tylko ci bogatsi i wyjącznie zimą.

Widok na przyprószony kurzem Toktogul jest najlepszym dowodem na to, że kirgiskich nomadów już (chyba) nie ma. Sowiecka przeszłość pozostawiła po sobie dziedzictwo w postaci nieczynnych fabryk, które do dziś straszą swoim ponurym wyglądem, boleśnie przypominając o zmianach gospodarczych po

Kirgizi zamienili konie tradycyjne na konie mechaniczne... nie modyfikując stylu jazdy.

1991 roku, kiedy to Kirgizja stała się Kirgistanem. Nie trzeba mówić, że zdaniem większej części populacji, nie były to zmiany na lepsze, a przynajmniej jeszcze nie.

W nowej rzeczywistości, Kirgizi zdecydowanie zrezygnowali z koni jako środka transportu, aby przesiąść się w kilkunastoletnie Mercedesy, Audi czy Toyoty sprowadzane drogą lądową z Niemiec, Polski albo krajów bałtyckich (toyoty z Japonii). Wiele osób powiedziało

mi, że w dzisiejszym Kirgistanie, w którym mieszka sześć milionów ludzi (na początku grudnia 2016 uroczystie świętowano przyjęcie na świat sześciomilionowego Kirgiza), jest ponad dziesięć milionów aut. Obserwując miejskie korki i ruch na drogach międzymiastowych, nie dziwię się. Przy czym, co też wielu mieszkańców zaznaczało, Kirgizi jedynie zamienili konie

tradycyjne na konie mechaniczne, nie modyfikując stylu jazdy. Mało kto więc uznaje zasady pierwszeństwa czy też widzi coś złego w zajechaniu drogi, wyprzedzaniu i gwałtownym hamowaniu po 100 metrach. Koncept hamowania pulsacyjnego jest tu również nieznanym – pędzi



się do ostatniej chwili i hamuje „na lakier”. W końcu konno takie rzeczy „przechodzą”, a ludzie wychodzą z tego bez szwanku. Jak to powiedział jeden taksówkarz, wioząc mnie „po ullańsku” po Oszu, styl jazdy nie ma żadnego znaczenia, bo i tak o wszystkim decyduje Allah.

Jak ze wszystkim, warunki zewnętrzne zmieniają się szybciej niż mentalność – tak samo jest w Kirgistanie, Szwajcarii i w Polsce. Tu jednak zmiany te zaszły, wydaje się, zbyt szybko, zbyt chaotycznie i zbyt radykalnie. Widok z tak zwanej nowej drogi (położonej na około 2000 m n. p. m.) na ledwo widoczną w górze krętą, wąską drogę bez żadnych barier, za to z wieloma wyłomami, uświadamia, jak, jeszcze do niedawna, wyglądała podróż między Biskekiem, oficjalną stolicą, a Oszem, nieoficjalną i tak zwaną południową stolicą kraju. Łatwo sobie wyobrazić, ile długich dni trzeba było jechać tamtędy konno.

To właśnie z tych czasów, zresztą nie tylko w tej części świata, wywodzi się zwyczaj wydawania uczyty na przyjazd strudzonych wędrowców. W końcu wiele dni żmudnej i niebezpiecznej jazdy przez pustkowia zastępowało na prawdziwą fetę, na którą schodziły się całe wsie lub dzielnice.

Dziś, choć jedzie się krócej, a po drodze bynajmniej nie umrzemy z głodu i pragnienia, przyjeżdżając do rodzinnego domu (lub do kogoś z wizytą) zostaniemy ugośczeni w podobny sposób. Przekonał się o tym bardzo szybko, przyjmując niewinne zaproszenie naszego pierwszego autostopowego kierowcy na tak zwany „czaj”. Po wejściu do domu okazało się, czym jest kirgiskie pojęcie o popołudniowej herbatce. Najlepsza ze wszystkich kilkunastu potraw była kietbasa z końskiego tłuszczu (czuczuk). O tym, jak bardzo jest ona ważna w kirgiskiej kulturze, przekonałam się dobitnie pod koniec 2016 r., kiedy lokalne kanały telewizyjne trąbiły o deportacji pewnego Brytyjczyka, który w mediach społecznościowych dopuścił się porównania owej kietbasy do końskiego przyrodzenia.

Tak wykwinie, a zarazem swojsko i różnorodnie przy kirgiskim stole jest od niedawna. Przejście dawnych nomadów w „tryb stacjonarny” widać w gastronomii, choć jest to jedna z niewielu dziedzin życia, w której można dostrzec zamiłowanie do kuchni pasterskiej. Zwłaszcza po kilku miesiącach jedzenia wyjątkowo

baraniny i ryżu. Tradycyjne kulinaria ograniczają się do diety bogatej głównie w tłuszcz, za to ubogiej w warzywa i przyprawy. Do dziś tego typu dania dominują na prowincji. W tej dziedzinie mieszkańcy Kirgistanu

wydają się być wyjątkowo konserwatywni. W przeciwieństwie do wielu innych krajów postradzieckich, które w latach 90. otworzyły się szerzej na świat, tutaj mało kto woli kaczkę od barana, bakłażana od marchewki (szczególnie specyficznej odmiany żółtej) czy kotlety z ciecierzycy od tłustej koniny.

Choć sami Kirgizi już prawie nie pamiętają swoich wędrownych początków, nomadyczny nurt zdali się podchwycić młodzi turyści z Zachodu, którzy Azję Centralną, głównie mityczny Pamir, obrali sobie za cel licznych rajdów. Wycieczki te odbywają się zazwyczaj w dobrze wyposażonych jeepach lub na niemniej „wypasionych” motorach, w pakiecie z częściami zapasowymi, ważnym przeglądem samochodu i ubezpieczeniem wartym kilka tysięcy euro. W swoich krajach często uważani są za bohaterów, radzących sobie w „dzikich krajach”. W tym czasie Kirgizi, Tadzycy i Kazachowie pokonują tysiące kilometrów w celu kupienia samochodu w Europie i sprzedania go u siebie z jakimkolwiek zyskiem. Bez ubezpieczenia, noclegów po drodze, w starych samochodach, idą na żywioł.

Widać, nomadyzm mają we krwi.

Tekst jest streszczeniem wykładu wygłoszonego w ramach cyklu spotkań – organizowanych w klubie „Kottownia” w Bazie Zbożowej



Fot. Dorota Nowak-Baranowska



Paweł Chmielewski

Jedną z najstojniejszych, dokumentalnych scen węgierskiej rewolucji 1956 r. jest burzenie monumentalnego pomnika Stalina w Budapeszcie. Wykorzystywana wielokrotnie jako ilustracja, otwiera biograficzny film „Niepochowany” (2004) o Imre Nagym (w tej roli Jan Nowicki) Márty Mészáros. Z olbrzymiego posągu dyktatora pozostały tylko jego buty.

## Zostały po nim tylko buty

OSADZONE NA OLBRZYMIM cokole, w oddali wysypanego szarawym żwirem placu, witają turystów w założonym w XXII dzielnicy „Parku pamięci” (Memento Park). Największy – i najłatwiej dostępny – w naszej części Europy (sofijski jest ukryty między budynkami, polski – w Kozłowie niedostępny przez pół roku i znacznie mniejszy), socrealistyczny skansen wypełnia lukę w pamięci, odświeżając co zakryte, jest niezbędną lekcją – do przerobienia – historii i sztuki równocześnie. Bez znajomości socrealistycznych symboli, stylu, kompozycyjnych i literackich chwytów, trudno wyłapać ciągłość zjawisk, prowadzić dyskurs i zrozumieć – nie tylko propagandową poezję naszych czasów oraz monumentalną sztukę sakralną polskich kościołów i sanktuariów, ale – przede wszystkim – na kształt dziecka we mgle – poruszać się w popkulturowym oceanie. Wizualna oprawa współczesnej muzyki – bez znajomości realizmu socjalistycznego – pozostaje niedopowiedziana, nie rozumiemy ironicznego nawiasu, tekstowego przekazu, zamierzonej lub nie artystycznej manipulacji kompozytora i autora teledysku.

### Lenin i teledyski

Ikony socrealistycznej sztuki – jak chociażby słynna rzeźba Wierzy Muchiny – pojawiają się nie tylko na okładkach płyt (Body Virus „Body Music” – por. „Projektor” 1/2017), ale jako koncepcja graficzna, muzyczna, sceniczny wizerunek towarzyszący zespołowi – to przypadek „Die Mensch-Maschine” (1978) grupy Kraftwerk, która w oszczędnych kolorystycznie projektach, nawiązuje nie tylko do socrealistycznej sztuki,



**Bez znajomości  
socrealistycznych symboli  
trudno poruszać się  
w popkulturowym oceanie.**



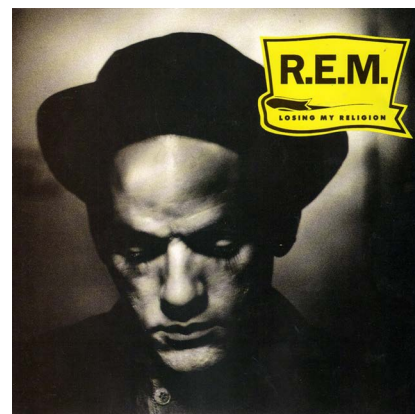
ale również konstruktywistycznych rysunków El Lissitzky'ego. W efektownej metamorfozie, w animacji kampowo-postsocrealistycznej maszerują (czerpiąc równoległe z „Metropolis” Fritza Langa, który jest obrazem na tyle ekspresjonistycznym, na ile konstruktywistycznym w warstwie wizualnej) Pet



Shop Boys („Go West”, 1993), zaś ich nakrycia głowy można odnieść wszak do zapomnianego arcydzieła niemieckiej radzieckiej fantastyki – „Aelity” Pro-tazanowa ze scenami wprowadzania komunizmu wśród kosmitów. Odrobinę wcześniej w kompletnie postmodernistycznej mieszaninie – obserwujemy kadry z „Caravaggia” Jarmana i czarno-białe ujęcia, stylizowane na klasyczny



radziecką propagandę – to sztandarowe „Losing My Religion” R.E.M. („Out of Time”, 1991). Okładka singla jest doskonałym przykładem nawiązania do porewolucyjnej sztuki radzieckiej – lider



zespołu przypomina Włodzimierza Majakowskiego na słynnej fotografii poety umieszczonej na okładce poematu „Dobrze”. Twarz genialnego (tak genialnego!) poety, zaciśnięte usta, groźny wyraz oczu, tworzą porażający kontrast z optymistyczną wymową tomu.

Ostatnio do tej stylistyki nawiązał zespół mający na koncie wizualne parafrazy obrazów religijnych – mowa o zapowiadającym najnowszą płytę megagwiazdy electro popu Depeche Mode utworze „Where's the Revolution”, który



tworzą ujęcia (oczywiście podkolorowane) jakby rodem z maoistycznych kronik (elementy baletowe z flagami), eksperymentując trochę z montażem na wzór (oczywiście z zachowaniem proporcji) Dzigi Wiertowa. Zaś okładka płyty to bardzo czytelne przetworzenie grafiki El Lissitzky'ego. Na osobny artykuł zasługuje Siergiej Eisenstein, którego awangardowy w formie, a ideowy w treści „Pancernik Potiomkin” ze słynną sceną na odeskich schodach był tak wielokrotnie parafrazowany – od wspomnianego duetu PSB, „Nietykanych” de Palmy aż do odcinków kanadyjskiego retro-kryminału „Detektyw Murdoch”, że wymagałby specjalnego katalogu.

Ta konstruktywistyczno-socrealistyczna ikonosfera teledysków – przede wszystkim z nurtu electro, synthpop, electrogothic – jest o tyle ciekawa, że nie



## Jak Gorki pokochał nowomowę

W przywołanym parku rzeźb dominują monumentalne przedstawienia robotników i czerwonarmiejców, pokryte szlachetną, grynszpanową patyną, trochę mniejsze, wręcz filigranowe główki i popiersia węgierskich patronów rewolucji: Beli Kuna, Ferencza Münnicha, Józsefa Kalamara i innych. Wszystkie stojące wśród zieleni, nadmiernie przejaśkrawione, realistyczne, czasem toporne w kroju – lecz to wprost pochodna idei. Powstawały – co zaskakujące dla polskiego odbiorcy, jeszcze w latach 80., gdy przypomnijmy – noszący w sensie formalnym pewne treści socrealistyczne film Wandy Jakubowskiej o Ludwiku Waryńskim z początków siódmej dekady, nie wzbudzał choćby skromnego entuzjazmu nawet wśród wiernych doktrynie elit partyjnych. Doktrynie, która od początku – mimo pozorowanej realności – była realną manipulacją. Gdyby nie była tak ponura, powiedzielibyśmy, że jest fantasmagoryczną utudą, umową między widzami teledysku, a jego twórcą.

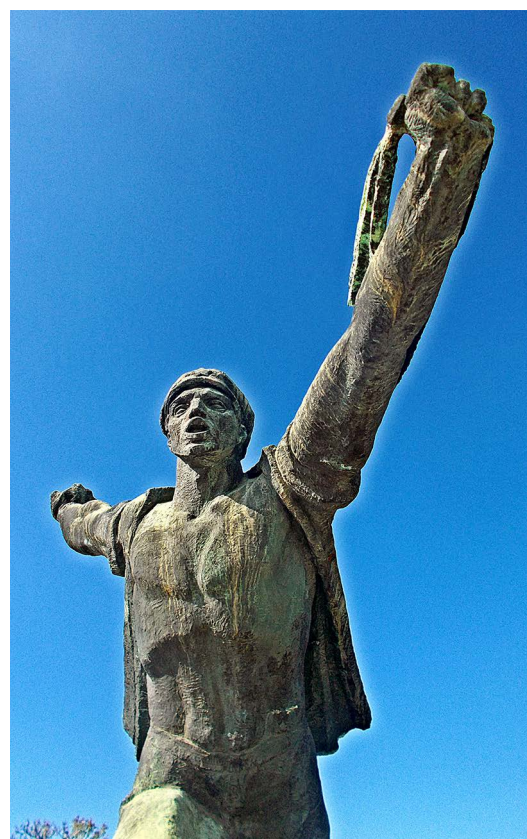
Socrealizm, noszący cechy (poza) sztuki klasycznej, jako estetyka władzy, estetyka oficjalna nie był niczym nowym. To przecież Aleksander, ten sam Aleksander, który spojrzał na swe imperium i zapałką, bo nic nie było do podbicia. Ten Aleksander zwany Wielkim rozkazał bić monety i stawiać wszędzie swoje wyidealizowane popiersia. Dopiero jednak socrealizm – obok władców – nakazał uwzniościć, poprzez

sztukę, również poddanych. Już zresztą tuż po rewolucji 1917 r. w Rosji – dzięki systemowi „rezolucji” – tylko sprawą czysto techniczną pozostawało określenie czym być powinien nowy nurt w sztuce; kwestię nazewnictwa – rozwiązał Maksym Gorki proponując – „realizm socjalistyczny” (zgodnie z praktyką „nowomowy” skrócony do „socrealizmu”).



uniką również nawiązań do estetyki niemieckiego ekspresjonizmu, tu ukochanym wizjonerem pozostaje wciąż Fritz Lang (wspomniani PSB, ale również Queen), rzadziej (a szkoda) Robert Wiene, a nawet, na swój sposób ryzykownie do nazistowskich obrazów propagandowych Leni Riefenstahl – Waters i Alan Parker w „The Wall” Pink Floyd. Zaś wszyscy czerpią z dynamicznych, zaplanowanych z geometryczną precyzją, porewolucyjnych kadrów Aleksandra Rodczenki.

Te kilka przykładów pokazuje dość wyraźny i udany romans (nie megalizans) popkulturowej elektroniki z socrealistyczną i (rzadziej) konstruktywistyczną sztuką. Realizm socjalistyczny – przez nieznaną – jako zjawisko z dziedziny plastyki, literatury, designu, filmu, zjawisko wykaraczowane, tworzy nie tylko dziwaczną „białą plamę” w dziejach kultury, ale i pozostawia odbiorcę bezradnym wobec obrazowych nawiązań zachodnich muzyków i filmowców.



Fot. Paweł Chmielewski



Realne było jednak tylko to, co uznano za „realne” (ergo propagandowo słuszne). Stąd właśnie nazywać możemy socrealizm nurtem kreatywnych, bodaj czy nie najbardziej w dziejach sztuki. Zgodnie ze starym powiedzeniem (tu cytuję z pamięci): *najpierw wykończymy wrogów, potem niezdecydowanych, na końcu obojętnych* – zaczęto od konstrukttywizmu (sztuki plastyczne) i futuryzmu (literatura), które – paradoksalnie – nie były przeciwne rewolucji, zajmowały się nawet działalnością propagandową, ale



uznane zostały za niezrozumiałe (*oderwane od mas*). Gdy Władimir Tatlin – za „Pomnik III Międzynarodówki” otrzymuje nagrodę w Niemczech, zaś w Rosji Radzieckiej oskarżony o „formalizm”, gdy na emigracji pozostają tej klasy artyści co El Lissitzky czy Chagall, gdy trochę później tajemnicze samobójstwo popetnia „bard rewolucji” Włodzimierz Majakowski, gdy Bułhakow żyje przez jedenaście lat dzięki groszowym tantiemom z łaski genseka, błagając o zgodę na wyjazd, gdy zakazany zostaje najwybitniejszy rosyjski dramat teatru po Czechowcie – „Samobójca” Nikołaja Erdmana – wtedy już wszystko jest jasne. W 1932 roku

niepodzielnie panuje socrealizm. Po wojnie już w połowie Europy. Niekiedy tylko do połowy lat 50., gdzie indziej do szóstej dekady, czasem aż do upadku systemu.

Paradoksy uwikłania – jak w soczewce – skupia przypadek Wiery Muchiny. Początkowo związana z awangardą, odrzuca kubizm i konstrukttywizm, a w jej pracach dominuje, tak charakterystyczny dla socrealistów eklektyzm. Najstojniejszym dziełem i jedynym, dzięki któremu pozostaje w ludzkiej pamięci, staje się 24-metrowy, stalowy monument „Robotnik i kotłownia”, dzieło do bólu szampowe, ale rozstawione dzięki czołwce wszystkich dzieł radzieckiej kinematografii zrealizowanych przez Mosfilm. I tak zakazane, zatrzymane, przemontowane, skrócone filmy Askoldowa, Tarkowskiego, Szukszyna firmuje, na wskroś słuszny, pomnik Muchiny. Chichot losu godny Bułhakowa.

Gdy oglądam posągi Dimitrowa, Beli Kuna i bohaterskich żołnierzy radzieckich, na ulicach węgierskiej stolicy toczy się protest przeciw zamknięciu „z przyczyn ekonomicznych” największej opozycyjnej gazety, organizowany jest wielki maraton uliczny, parada setki harleyowców i doroczny zlot rowerowy miłośników kultury wiktoriańskiej. Środkowoeuropejski cyrk i festyn, radości i nienawiści w jednym. Zaryzykuję tezę, że bez minimalnej orientacji w socrealistycznej stylistyce tekstu i obrazu, trudno zrozumieć fenomen disco polo czy niektórych najnowszych dzieł polskiej kinematografii. To jednak temat na osobną opowieść.

Tekst jest streszczeniem wykładu wygłoszonego w ramach cyklu spotkań – organizowanych w klubie „Kotłownia” w Bazie Zbożowej



# Agata Orłowska Od śmierci do życia

Drogi Czytelniku, zatrzymaj się, proszę, na chwilę i spróbuj przywołać swoje myśli, które wygenerowałeś na przestrzeni np. minionej godziny. Zwróć uwagę, jak daleko wybiegałeś w przyszłość. Na jakie przeszłe wydarzenia wciąż przeznaczałeś energię? Jak głęboko sięgały Twoje rozważania...? Teraz zauważ, że tkwienie w tym, co było i rozmyślanie nad tym, co (być może) dopiero będzie, wydaje się często bardziej pociągające, niż bycie w rzeczywistości, która jest.

FRANCUSKI FILOZOF I PISARZ, krytyk społeczeństwa konsumpcyjnego, Guy Debord, wiąże tę cechę człowieka współczesnego ze zjawiskiem społeczeństwa nieobecności śmierci i czyni je tożsamym ze społeczną nieobecnością życia. Wg Deborda rzeczywistość bezpośrednio przeżywana zwalnia miejsce rzeczywistości na prawach rynku i konsumpcji. Ta natomiast oddala od świadomości śmierci, przemijania doczesności czy głębszego, wspólnotowego wymiaru wydarzeń. W efekcie człowiek współczesny, poprzez rozprawianie się z przeszłością i nieustanne dążenie do przyszłości, traci kontakt z tym, co w życiu żywe, jego esencją, manifestującą się w przestrzeni „teraz”.

## Wnikliwa próba uchwycenia dialogu ze śmiercią.

W książce Karoliny Marcinkowskiej „Od-tworzyć przeszłość. Kult czumba na Madagaskarze”, zjawisko to zaakcentowane jest niezwykle atrakcyjnie. Wzbudza też wiele kontrowersji. Publikacja, będąca efektem trzech wypraw badawczych (2007-2009) polskiej antropolożki, twórczyni inicjatywy AFRICA REMIX, opisuje Wyspę Przodków od strony najbardziej hermetycznej, dziwnej, tajemniczej i przerażającej, jeśli już znanej polskim czytelnikom, to tylko zdawkowo i w typowo europejskim ujęciu za przyczyną Arkadego Fiedlera.

„Od-tworzyć przeszłość...” to wnikliwa próba uchwycenia „dialogu ze śmiercią” malgaskiego ludu Sakalawa z miasta Mahajanga, przejawiającego się w granicznych i ryzykownych praktykach rytualnych, będących drogą do pełnego doświadczenia życia – teraźniejszości. Heterogeniczny kult czumba to m.in. spotkania z duchami przodków królewskich,

Karolina Marcinkowska  
**Od-tworzyć przeszłość. Kult czumba na Madagaskarze**  
445 s. ; 20 cm  
Gdańsk : Wydawnictwo Naukowe Katedra, 2016  
913(691):39(691)

zamieszkujących na czas rytuału w ciałach wybranych kobiet, a także współżycie, współistnienie z nimi w rzeczywistości poza rytualnej, zwykłej codzienności. Z praktycznego punktu widzenia rytuały służą, pragnącym na nich skorzystać „klientom” do poprawy zdrowia i poznania przyszłości, kobiecie-medium – do zwiększenia energii życiowej i podniesienia prestiżu w lokalnej społeczności, pozostałym uczestnikom – do obcowania z historią przodków.

W szerszym, ontologicznym ujęciu kult czumba to łączenie się dwóch rzeczywistości – „umartej” przeszłości przodka, która ożywa dzięki symbolicznej śmierci kobiety-medium oraz żywej teraźniejszości, przejawiającej się poprzez tworzenie tej przeszłości wciąż na nowo w chwili obecnej. Jest to swoiste przenikanie się na różnych poziomach tego, co „umarte” z tym, co żywe, generujące siłę życiową „aina” (odpowiednik energii qi, prany, pneumy itd.) i wychodzenie ponad ludzkie dualizmy – życia i śmierci, przeszłości i teraźniejszości, kobiety i mężczyzny, jednostki i wspólnoty, wiedzy i niewiedzy, ciała i duszy.

Autorka poprzez głębokie zanurzenie się w życie i zwyczajach ludu Sakalawa, a także czynne uczestnictwo w badanych rytuałach przedstawia zjawisko rzetelnie i szczegółowo, stwarzając przy tym przestrzeń dla tajemnicy i niedowierzania, a nawet uczucia grozy – królewscy przodkowie Vazimba to bowiem kapryśne i niejednokrotnie groźne duchy z ludzki przywarami, żądające za swoje usługi nie lada poświęceń i lubiące wcielać się w europejskie kobiety. ■

Karolina Marcinkowska

Od-tworzyć  
przeszłość



kult **czumba**  
na Madagaskarze

KATEDRA  
WYDAWNICTWA NAUKOWE



# Ich war nur ein Buchhalter

**2017 rok. Około północy jeden z kanałów kablówki nadaje film z Anthonym LaPaglią i Martinem Freemanem jako amerykańskimi autorami telewizyjnej relacji z procesu Adolfa Eichmanna. Jest rok 1961. Świadkowie oskarżenia opowiadają o zbrodniach „księgowego śmierci”. O latach milczenia, gdy nikt w Izraelu nie wierzył w relacje ocalonych. O strachu, o niedowierzaniu, o pogardzie.**

Paweł Chmielewski

**1999 ROK. LINZ.** Miasto, w którym spędził dzieciństwo i uczył się Adolf Hitler. Moja matka przyjechała obejrzeć miejsce śmierci swego ojca, którego nigdy nie poznała. Z koleżanką, która od dwóch dekad mieszka w Austrii jadą kilkanaście kilometrów do byłego obozu koncentracyjnego w Mauthausen-Gusen. Po drodze, rozglądając się nerwowo, koleżanka wciąż szepce jej do ucha: – Tylko nie mów nic po polsku.

**2003 rok.** Martin Pollack odwiedza pałac w Radziejowicach. Pod koniec wojny oddział, którym dowodził jego ojciec rozstrzelał kilkudziesięciu polskich więźniów. Po wojnie nikt ich nie szukał, nikt nie mówił o zbiorowej mogile. Dopiero po sześćdziesięciu latach jeden z mieszkańców zdradza tajemnicę, która zepchnięta w otchtań niepamięci, paraliżowała przez dekady każdą rodzinę z Radziejowic.

Pollack, eseista, tłumacz polskiej literatury (w tym Ryszarda Kapuścińskiego), korespondent „Der Spiegel”, autor m.in. „Sprawy Filipa Halsmana” i „Opowieści o moim ojcu” (Nagroda Angelus 2007) pokazuje strach, strach powszechny, strach wiecznych uchodźców, który skrywa prawdę o środkowoeuropejskim tyglu narodów. Ta część kontynentu to w „Topografii pamięci” miejsce skazane lękiem, lecz nie winowajców przed karą, lecz ich ofiar. Na okładce widnieje czarno-białe

zdjęcie – trójka dzieci przed altaną pokrytą winoroślą patrzy w obiektyw. Są dumne, schludnie ubrane, uśmiechnięte, aparat trzyma pewnie ich ojciec (może stryj). Sielska scena, tylko... każde z dzieci podnosi rękę w geście faszystowskiego pozdrowienia. Po plecach przechodzą mimowolne ciarki. To jak słynny kadr z piwnego ogródka w „Kabarecie” Boba Fosse’a. Pollack odnalazł zdjęcie w rodzinnym archiwum, zgaduje, że powstało gdzieś w Austrii na kilka lat przed wybuchem wojny. „Topografia pamięci” to nie tylko literacki reportaż o strachu. Jest o wymazywaniu wspomnień. Wyparciu przeszłości, którą – z precyzją chirurga odśtania autor – zdiera kolejne warstwy naskórka – rodzinę o nazistowskich korzeniach, rodzinne miasto, Austrię, która nigdy nie rozliczyła się z wojennych zbrodni, pogromy i nacjonalizm Wschodniej Europy.

Gdy na ruinach obozu w Gusen austriaccy mieszkańcy budują wille, gdy w Burgenlandzie nikt nie chce wydać zgody na tablicę upamiętniającą zagładę Romów, Pollack tropi losy swych kolegów: *droga, którą obrat ojciec mojego szkolnego kolegi, wydała mi się przerażająco znajoma. Studia. Członkostwo w korpo-*

## Reportaż o strachu.

### O wymazywaniu pamięci.

*racji. Wczesna przynależność do NSDAP. A w Trzeciej Rzeszy udział w krwawych zbrodniach. Jest w nich coś tchórzliwego i butnego zarazem. Są jak młody von Trotta z „Marsza Radetzky’ego”.*

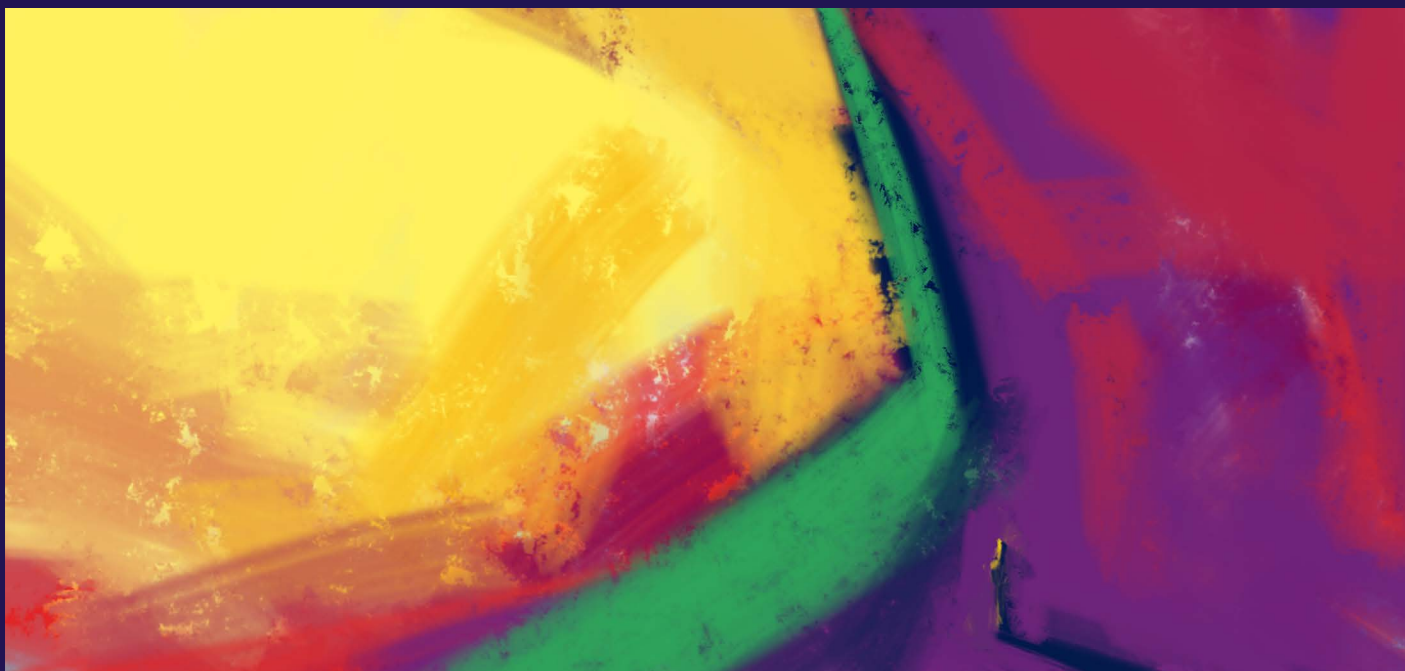
Jednym ze słów kluczy do tej reportersko-pamiętnikarskiej relacji jest nie tylko „miejsce” (nasze, kulturowo związane ze społecznością), ale „obcość”. Obcy jest przeganiany, obcy jest mordowany. „Obcość” to kategoria podrzędna. Jest również „różnorodność” (wieloetniczność) z symboliczną topografią Galicji. Ale to już świat umarty. Wizyta w Polsce, gdy zaczął studiować sławistykę, tuż przed 68 rokiem, to również ostatni moment na spotkanie polskich Żydów.

„Topografię pamięci” budują celne, mozaikowe obrazy – szubienice malowane na ścianach synagogi w Przemyślu w latach 90., niemieckie zdjęcie z początków wojny z opisem „Martwy. Zastrzelony. Polski morderca” na portalu aukcyjnym, fotograficzne zapiski z I wojny światowej na Bałkanach, gdzie w otwartych drzwiach stodoły zgodnie powieszono prawostawnego popa i ortodoksyjnego Żyda. Oto jest Mitteleuropa ze swą spiralą pamięci. ■



Martin Pollack  
*Topografia pamięci*

Martin Pollack  
**Topografia pamięci**  
238 s. ; 20 cm  
Wrocław : Czarne, 2017  
94(100)\*1939/1945:821.112.2(436)-4



# Żuławski – rzymskie wakacje

Emmanuella Robak

**Tradycja podróżopisarska sięga czasów starożytnych. Wówczas istotną rolę odgrywały przewodniki krajoznawcze, które zawierały charakterystykę danego miejsca, a także całą masę wskazówek przydatnych dla wędrowców. Dla średniowiecznego piśmiennictwa podróżniczego najważniejsze okazały się relacje z pielgrzymek do miejsc kultu religijnego czy opowieści o eskapadach do magicznych krain, pełne fantastycznych i cudownych fragmentów (opowieści celtyckie czy słynne opowiadania z arabskiego zbioru „Baśni z tysiąca i jednej nocy”).**

W PIŚMIENICTWIE NOWOŻYTNYM najważniejszą rolę odgrywały relacje z wypraw handlowych, naukowych czy dyplomatycznych (w tym czasie zrodził się także pomysł podróży zmyślonej zapoczątkowany dziełem Thomasa Morusa „Utopia”, 1516) – przy czym sam Morus czerpał jeszcze z pomysłu zawartego w „Państwie” Platona. W wiekach XVII i XVIII każdy kto chciał „zabłysnąć” w towarzystwie musiał odbyć swoją europejską „Grand Tour”, czyli wielką podróż, dopełniającą edukację i dającą sposobność awansu do towarzyskich elit.

## O Italii bez Italii

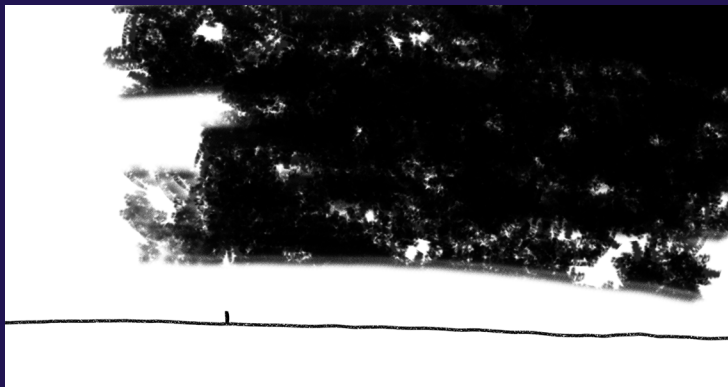
Początek XIX wieku został zdominowany przez zupełnie nowe oblicze „turystyki”, ale już wcześniej momentem przelomowym – w 1768 r. – okazała się publikacja powieści wybitnego angielskiego pisarza

Laurence’a Sterne’a zatytułowanej przewrotnie „Podróż sentymentalna, przez Francję i Włochy” (przewrotnie, bo o samej Francji i Włoszech czytelnik nie dowie się niczego). Sternowski wzorzec podróży zakładał spojrzenie na otaczający świat przez pryzmat własnych uczuć, skrupulatną, rzetelną analizę doświadczanych sytuacji



Rys. Tomasz Łukaszczyk





i skupianie się na własnych refleksjach. To Sterne pokazać czytelnikowi nową wizję podróży, podróży intelektualnej, wypetnionej przemyśleniami na temat społeczeństwa, kultury czy obyczajowości mijanych miejsc.

Na przestrzeni lat, opisując wędrówkę, korzystano z różnych form literackich (można wśród nich wyróżnić periegezy – sprawozdanie naukowe, itinera-ria – przewodnik praktyczny, dzienniki z podróży czy listy), nie zmieniały się zaś składniki samego przedsięwzięcia. W każdej relacji obecny jest: opis krain i miejscowości, odwiedzanych przez podróżnika (ten może zawierać szczegóły geograficzne albo topograficzne, a nawet typowe informacje encyklopedyczne), sposób podróżowania (piesza, samotna wędrówka albo wycieczka z przewodnikiem) oraz opowiadanie o zdarzeniach, które miały miejsce podczas wycieczki bądź zapis refleksji, które towarzyszyły podróżnemu w trakcie wojaży. W zależności od tego, który ze składników przeważał w danej relacji, można było klasyfikować teksty podróżnicze na te bardziej naukowe, użytkowe czy po prostu przygodowe.

## NIE TYLKO ZIEMIA SELENITÓW

W niniejszym artykule chcę przedstawić sylwetkę Jerzego Żuławskiego – pisarza kojarzonego głównie

z powieścią SF „Na srebrnym globie”. Twórca książkowego świata alternatywnego w swoim dorobku podróżopisarskim daje się poznać z zupełnie innej strony – jako pełen pasji wycieczkowicz, wnikliwy obserwator i komentator świata. Jak się bowiem okazuje, postawę życiową tego utalentowanego poety młodopolskiego, dramaturga, filozofa i eseisty, trafnie charakteryzuje formuła wiecznego podróżnika, a jego eseistyka podróżnicza znakomicie wpisuje się we współczesny topograficzny zwrot w badaniach humanistycznych. Eseje, reportaże i małe prozy znajdujące się w zbiorach „Bajka o człowieku szczęśliwym” (1914) i „Miasta umarte” (1918), zawierają wiele warstw, zachęcających do analizy tekstów pod kątem interakcji między twórczością literacką a przestrzenią geograficzną (geopoetyka).

Jerzy Żuławski w swoim krótkim, bo zaledwie czterdziestoletnim życiu wędrował po różnych zakątkach Europy. Powody tych wędrówek były różne: działalność literacka i naukowa, pogłębianie wykształcenia, szukanie inspiracji artystycznych, a także prywatna ciekawość świata. Dla Żuławskiego podróż miała zawsze wielowymiarowy kontekst. Zwiedzane miejsca, poznawani ludzie, widziane krajobrazy bardzo często stawały się dla niego punktem wyjścia do snucia prywatnych refleksji.

Jednym z ważniejszych punktów na mapie podróży Żuławskiego był Rzym, miejsce od wieków przyciągające artystów, atrakcyjne dla licznych korespondentów, studentów czy zwykłych turystów. Rzym – niezwykle popularny w epoce romantyzmu – równie chętnie był odwiedzany przez twórców młodopolskich, którzy wyjeżdżali do Włoch w sprawach osobistych, zawodowych, a czasami ze względów snobistycznych (podróż do Italii była po prostu modna). Rzym zawsze stanowił miejsce o unikalnym uroku i niepowtarzalnym klimacie.

## CYPRYSOWE RUINY

Rzym Żuławskiego został zaprezentowany w eseju „Veneri et Romae” (1906) (pochodzącym ze zbioru „Bajka o człowieku szczęśliwym”) oraz w szkicu „Po siedmiu latach” (1913) ze zbioru „Miasta Umarte”. Pierwszoosobowy narrator przedstawia w nich własne, unikatowe widzenie otaczającego go świata. Wspólną cechą wypowiedzi stanowi obecność licznych dygresji,





wywołanych dzięki percepcji danego miejsca. Lektura tekstu wymaga – jak na prozę modernistyczną przystało – czytelnika aktywnego; bohater nie mówi niczego wprost, nie wyjaśnia, daje lakoniczne wskazówki, słowem sugeruje jedynie sens odczytania jego myśli, prowokując odbiorcę do odległych skojarzeń kulturowych.

W swej relacji narrator przekonuje, że Rzym jest przestrzenią kontrastów, gdzie stare sąsiaduje z nowym, przeszłość styka się z teraźniejszością, młodość sąsiaduje ze starością, gdzie obok pulsującego życia wszechobecna jest śmierć (ruiny miasta). Rzym Żuławskiego to przede wszystkim miasto ruin, które przypomina na każdym kroku o mijającym czasie, o dawnej

obraz wpisana jest codzienna, pospolita rzeczywistość miejska: oto przekupka rozkłada w bramie swój stragan z bibelotami, na podwórku kobiety rozwieszają na sznurach pranie, a dzieci biegają dookoła matek, śmiejąc się i krzycząc radośnie.

Warto też zwrócić uwagę na istotną rzecz, którą podkreśla narrator – sposoby zwiedzania obcych miast. Są dwie możliwości. Pierwsza oznacza *obowiązkowe niemal oglądanie wszystkiego, co jest do obejrzenia, uczenie się na pamięć rzeczy, których się można było spokojnie z jakiegokolwiek książki nauczyć, sprawdzanie zawartości muzeów wedle katalogu, gonięcie z zegarkiem w ręku z jednego końca miasta na drugi, aby jeno czasu starczyło*. Możliwość druga pokazuje, że można *po prostu żyć przez kilka godzin, dni czy tygodni w jakimś mieście. Żyć w całym tego słowa znaczeniu życiem, jakie ono właśnie daje, chłonąć jego atmosferę, czuć jego tętno we krwi, jego rytm w myślach, ten rytm, który przeszłością, podniebieniem, ludzi charakterem stworzony, przebija i przewija się wszędzie: w domów i ulic postaci, w strojach, ruchach w zabytkach, w sztuce, nawet w sposobie mówienia („Miasta umarte”)*. Z przytoczonych refleksji jasno wynika, że tylko przeżycie unikatowej wydarzeniowości miejsca daje możliwość pełnej z nim integracji. Takie samodzielne zwiedzanie miasta (bez map i przewodników, z indywidualnym wyznaczaniem trasy), mające na celu wnikliwe poznanie jego ciekawych zakątków, wiąże się z jednej strony ze swoistą zaradnością turysty, z drugiej zaś jest to najlepsza możliwość prowadząca do doświadczenia miejsca, w którym się znajdujemy. Więc może przy następnej wizycie w obcym mieście należałoby się zastanowić, czy zamiast zwiedzać, może po prostu wystarczy być? ■

### Zamiast zwiedzać, może po prostu wystarczy być?

przeszłości, wspaniałej świetności rzymskiej kultury, dziś już nieobecnej (albo: obecnej inaczej). Ruiny te jednak przedstawiane są w tekście zawsze na tle natury, w kontekście tego, co żywe (drzewa, kwiaty, trawa, w ruinach przebywają ludzie, zwierzęta, owady).

Ukochany przez pisarza Rzym prezentowany jest w rozmaitych ujęciach czasowych. Inaczej wygląda wschód słońca w Rzymie, a inaczej zachód, ale konstrukcja opisu obu zjawisk natury zawsze stwarza podstawy do kreowania przez obserwatora magicznych wyobrażeń: *różowa mgła wypełnia (...) olbrzymie łuki zwalonych bazylik rzymskich cesarów – spiętrzone w oddali domy stają się podobne jakiemuś czarowanemu miastu z różowego alabastru* – notuje w „Veneri et Romae”. W ten niekiedy fantastyczny



Artur Zieliński

# Życie na wiecznej zmarzlinie

We współczesnym świecie turystyka i podróżowanie stały się bardzo modne. Gwałtowny postęp cywilizacyjny i globalizacja sprawiają, że możemy niemalże dostać się w każde miejsce na naszej planecie, lecz te osoby, które preferują – poza poznawaniem nowych miejsc – komfort, będą zawsze wybierać znane rejony turystyczne. Natomiast ci, którzy bardziej lubią przeżywać emocje wybierają mniej popularne turystycznie kierunki. Oczywiście na tak uproszczony podział turystycznych preferencji nakłada się jeszcze mnóstwo innych czynników, z których poczucie bezpieczeństwa odgrywa zasadnicze znaczenie.

W 2016 roku odwiedziłem Syberię. Jak powszechnie wiadomo Syberia to wielka kraina geograficzna leżąca w północnej Azji. Rozciąga się ona od Uralu na zachodzie, po Ocean Spokojny na wschodzie. Administracyjnie w całości leży w Federacji Rosyjskiej.

Rosja natomiast, która powstała w 1991 r. po rozpadzie ZSRR jest, pod względem powierzchni, nadal największym państwem na świecie. Z kolei pod względem liczby mieszkańców plasuje się dopiero na dziewiątym miejscu.



Warto podkreślić, że kraj ten dysponuje największymi zasobami naturalnymi i źródłami energii. Na terytorium Rosji jest aż dziewięć stref czasowych. Człowiek zdaje sobie sprawę jak to ogromna przestrzeń wtedy, kiedy patrzy na globus albo wtedy, kiedy wiele godzin spędza w samolocie.

## smak koniny i kumysu

We wspomnianej Syberii terenem mojego szczególnego zainteresowania stała się największa, ze wszystkich dwudziestu jeden republik wchodzących



w skład Federacji Rosyjskiej – Jakucja (Republika Sacha).

Mimo ogromnych rozmiarów (ponad 3 miliony km<sup>2</sup>) terytorium to zamieszkuje tylko nieco ponad milion ludzi. Rdzennymi mieszkańcami tych ziem są Jakuci. Bardzo niska gęstość zaludnienia nie powinna dziwić, bowiem 40% powierzchni tej republiki leży poza kołem polarnym. Poza tym w Jakucji, w rejonie Wierchojańska, odnotowano największe na Ziemi roczne amplitudy temperatury powietrza oraz najniższą temperaturę na półkuli północnej -67,8°C.

Do tego to niewielkie zaludnienie nie jest w Jakucji równomiernie rozłożone. Zdecydowanie największym miastem, w którym mieszka około 300 tys. osób jest stolica tej republiki – Jakuck. Miasto



nie jest stare. Zostało założone dopiero w 1632 r. przez Piotra Beketowa jako warowna twierdza kozacka nad jedną z największych rzek świata – Leną.

Do Jakucji najwygodniej dostać się samolotem, kolej prawie tam nie dochodzi. Dróg asfaltowych jest mało. Wiadomo, że wielkim problemem dla mieszkańców i rozwijającej się tam cywilizacji jest wieczna zmarzlina. Jej istnienie utrudnia budowę i funkcjonowanie wszelkiej infrastruktury. Budynki stawiane są na betonowych palach, wbijanych w zmarzlinę. Infrastruktura techniczna pomiędzy budynkami przebiega na powierzchni. Dlatego osiedla mieszkaniowe wyglądają



rzece Lenie. Zachwyciły „Leńskie Stołby” (Leńskie Słupy) – park narodowy, który jest na liście UNESCO. Zauroczyły wspaniałe wydmy nad Leną „Tukułany”.

Na długie lata w mojej pamięci pozostanie spotkanie z jakuckim szamanem. Wspominając ten kraj przypomina mi się także specyficzny smak koniny oraz kumysu. Jakucja to przepiękna kraina z bardzo przyjaznymi i serdecznie nastawionymi do przybyszów mieszkańcami oraz ogromnymi przestrzeniami dziewiczej i niesamowicie przepięknej przyrody. ■

Tekst jest streszczeniem wykładu wygłoszonego w ramach cyklu spotkań – organizowanych w klubie „Kottownia” w Bazie Zbożowej



tak, jakby były to przestrzenie przemysłowe z dużą ilością różnych rurociągów na powierzchni.

Mimo tych wielkich trudności technicznych, niesprzyjających warunków środowiskowych, coś ludzi ściąga w te rejon. Tym wielkim magnesem są bogactwa naturalne. W Jakucji znaczącą rolę wśród nich odgrywają diamenty. Ich eksploatacja w opisywanej republice stanowi znaczący procent światowego wydobycia tego surowca.

W okresie krótkiego lata Jakuck staje się zielonym i mocno ukwieconym miastem. Jego turystycznymi atrakcjami stają się przyrodnicze i historyczne muzea.

Wielkie i niezapomniane wrażenie na mnie zrobiły zamrożone mamuty oraz kilkusetkilometrowy rejs po ogromnej



Fot. Artur Zieliński



REPORTAŻ

Aneta Prymaka-Oniszk  
**BIEŻEŃSTWO 1915**  
 Zapomniani uchodźcy

# Reportaż o zapomnianych wychodźcach

Michał Siedlecki

Wśród nowości wydawniczych warto zwrócić szczególnie uwagę na książkę „Bieżeństwo 1915. Zapomniani uchodźcy” (2016) autorstwa Anety Prymaki-Oniszk, dziennikarki oraz stypendystki Marszałka Województwa Podlaskiego. To fascynujący, acz pełen dramatycznych opisów, reportaż o polskim uchodźstwie czasów I wojny światowej, który miał już zresztą swoje drugie wydanie w 2017 roku. Razem z pisarką poznajemy tu bowiem niezmiernie ważny fragment polskiej historii, dziedzictwo, bez zrozumienia którego nie pojmimy choćby uwarunkowań współczesnego świata związanych z kryzysem migracyjnym.

## Potem jest step. To Kaukaz.

KSIĄŻKA PRYMAKI-ONISZK POZOSTAJE dziełem wielowymiarowym. Składają się na nie misternie skonstruowane mikrohistorie o Bieżeńcach (ponad dwóch milionach osób) – XX-wiecznych uciekinierach nazywanych tak przez carskie władze – którzy ratując się przed pożogą I wojny światowej uciekają z kresów Polski w głąb Rosji, targanej wówczas krwawymi wydarzeniami rewolucji październikowej oraz bratobójczej walki „białych” i „czerwonych”, przypadającej na lata 1917–1923. Ich dramatyczna historia na tym się zresztą tu wcale nie kończy. Ta rodzima społeczność (katolików, prawosławnych, Żydów, szlachty, chłopów itd.) rusza bowiem – na wieść o odradzającej się w 1918 roku Polsce – w przeciwną stronę, by jeszcze raz zaznać goryczy wojennego Armagedonu i nigdy już w rodzinne strony nie dotrzeć.

Prezentowane tutaj szczegółowo przez Prymakę-Oniszk dzieje polskich uchodźców mają ponadto dla pisarki wymiar stricte emocjonalny oraz osobisty: *Pamiętam niewiele. Prawie nic. Bo ile z podsłuchanych opowieści dorosłych może zapamiętać dziecko? Wyjazd. Choć może to ucieczka? Wozy, całe morze wozów. Jadą w kilka rzędów, tarasują wszystkie drogi. Ciągną do Rosji. Do «Rasiei» – tak zawsze mówili. Potem jest step. (...) To Kaukaz. (...) Na tym gorącym*

Aneta Prymaka-Oniszk  
**Bieżeństwo 1915. Zapomniani uchodźcy**  
 365 s. ; 23 cm  
 Wołowiec : Czarne, 2016  
 94(438).078:323.15:314.151.1(=161.3)(047)

*«Kaukaazie» mieszkają piękni i dobrzy ludzie. (...) Na brzegach rzek, pewnie także Donu, zalega zboże, całe sterty gnijącej pszenicy. Czasem rzeką płyną ludzkie ciała. Wtedy woda czerwienieje. Ciała wynosi się też z pociągu i układa na śniegu. (...) Bieżeństwo. Tak babcia i wszyscy wokół nazywają ten czas. Musi być ważny, skoro ich historia dzieli się na przed bieżeństwem i po bieżeństwie.*

Prymaka-Oniszk dokumentuje więc na kartach swojej, przekonująco napisanej książki jedną z najbardziej przemilczanych katastrof XX wieku. Przedstawia bowiem polskim czytelnikom zatrważający exodus ich rodzimej społeczności, o którym (o zgrozo!) zdążyliśmy już dziś prawie wszyscy zapomnieć. Jest ona przede wszystkim godną kronikarką dziejów naszych przodków, którzy na skutek inferna I wojny światowej, a także towarzyszącej jej rosyjskiej rewolucji stracili – w większości przypadków – jakąkolwiek szansę na godny powrót do własnej, często idealizowanej przez nich ojczyzny. To książka, wobec której trudno przejść obojętnie. ■

# Bieda stara jak świat

Piotr Kardyś

Muzeum Historii Kielc wydało pracę autorstwa Magdaleny Książek, w której zasadniczym problemem jest kwestia działalności dobroczynnej kielczan w XIX i na początku XX wieku. Nie przypadkowo właśnie ten okres w dziejach opieki nad ubogimi był niezwykle istotny. Z literatury przedmiotu wiadomo bowiem, że gwałtowne uprzemysłowienie ziem polskich przyniosło ze sobą zjawisko znane już wcześniej w Europie Zachodniej, które można określić, jako poszerzenie się „obszaru” biedy.

Magdalena Książek

*Dzieje dobroczynności w Kielcach w XIX i początkach XX wieku*

284 s. ; 24 cm

Kielce : Muzeum Historii Kielc, 2016

364(438)

## karta dobroczynności

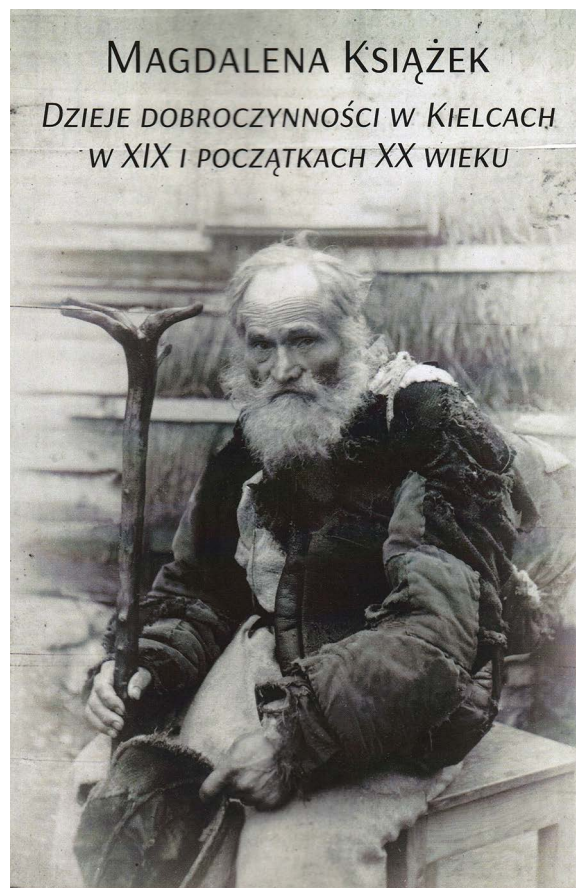
*SKUPISKA NĘDZY BYŁY JAK GRZYBY, wciskające się między lepsze domy, w stare i opuszczone budynki, obrastając resztki murów lub skrawki wolnych miejsc.* (cyt. E. Kaczyńska). I nie byłoby może w tym nic dziwnego, wszak bieda jest stara jak świat, ale inaczej zaczęto ją postrzegać, walczyć z nią i jej zapobiegać. Przede wszystkim poprzez racjonalizację współpracy prywatnej dobroczynności z publiczną opieką społeczną. Z lektury omawianej książki wynika, że Kielce i Kielczanie mieli całkiem pokaźny wkład w objęcie ubogich i chorych statą opieką.

Zanim przejdziemy do ogólnej charakterystyki tych działań należy wskazać źródła informacji, które posłużyły autorka do opracowania tej problematyki. Przede wszystkim były to materiały z Archiwum Państwowego w Kielcach (sprawozdania, artykuły, druki urzędowe, regulaminy, statuty, dane statystyczne) oraz dokumentacja z Archiwum Diecezjalnego w Kielcach (akta kapitulne, konsystorskie, kurialne). Uzupełnieniem były dzienniki urzędowe, różnego rodzaju sprawozdania z działalności, wreszcie obfita literatura.

Magdalena Książek udanie zaprezentowała sytuację zdrowotną mieszkańców Kielc w latach 1826-1914 szczególnie akcentując różne formy pomocy charytatywnej, poszczególne instytucje i to, jakie

warunki materialne oferowały swoim podopiecznym. Podjęta też mniej udaną próbę pokazania „dobroczynnych” i „filantropijnych” Kielc na tle miast Królestwa Polskiego, Cesarstwa Rosyjskiego i Europy Zachodniej. Pomimo tej uwagi praca ta broni się nowatorstwem problematyki (w ujęciu monograficznym dla Kielc), zawarciem mnóstwa szczegółów o charakterze biograficznym, opracowaniem dziejów wielu, dotychczas zaledwie sygnałnie wspominanych instytucji dobroczynnych, stowarzyszeń i podejmowanych działań. Wystarczy, że wymienię Kieleckie Towarzystwo Dobroczynności, Kieleckie Tow. Pomocy dla Ubogich Wyznania Mojżeszowego, Kielecki Oddział Rosyjskiego Tow. Dobroczynności, ochronki dla dzieci, przytulki, kasy groszowe i pożyczkowe, Kasę Posagową, Salę Zajęć dla Dziewcząt i osobną dla chłopców, Sklep Ubogich, pomoc żywnościową, Stowarzyszenie Służących, Komitet Wsparcia Wstydzących się Żebrać, Komitet Pomocy Rodzinom Rezerwistów, walkę z analfabetyzmem, powstanie szpitala. A wszystko to w „otoczcze” zmaganiń narodowych, walki politycznej, represji carskich i klęsk żywiołowych.

Reasumując, miasto i jego mieszkańcy zapisali się pozytywnie w dziejach dobroczynności, a Magdalena Książek udanie uzupełniła naszą wiedzę w tym zakresie. ■





Izabela Łazarczyk-Kaczmarek

# Naturalne zabawki w kontakcie z przyrodą



**ZABAWKI, ISTNIEJĄCE OD ZAWSZE**, uczące zachowań społecznych, będące bodźcem do rozwoju, obrazują również epokę i sposób wychowywania w danym czasie. Na przestrzeni wieków zmieniał się materiał z jakiego były wykonywane: glina, skóra, słoma, tkanina, porcelana, drewno, celulozoid. Wystawa „Dziki Dzieci” w Instytucie Dizajnu, to natomiast drewniane zabawki powstałe w myśl modnego ostatnio „powrotu do natury”. Ich ideą jest jak najmniejsze przetworzenie drewna, pokazanie faktury, koloru, różnorodności fragmentów – korzeni, przekrojów stoi czy struktury kory. Same „Dziki dzieci” to marka naturalnych zabawek oraz warsztat stolarski w Górach Świętokrzyskich oraz pracownia projektowa, którą prowadzą i nadzorują Anna Bera – artystka i Małgorzata Matwiejczyk – psychoterapeutka.

Rozwinięcie dziecięcej wyobraźni prostymi środkami, powrót do czasów nie tylko dziadków, ale i naszych, kiedy to do zabawy wystarczył przystawiony kij a wyobraźnia i kreatywność nie były skrepowane

Nasze wspomnienia z dzieciństwa najczęściej związane są z jakimś konkretnym wydarzeniem bądź właśnie zabawką. Większość z nas potrafi przywołać w pamięci obraz ulubionego misia, zajączka, kocyka czy klocków, są one nieodłącznym elementem lat dzieciennych.

i ukierunkowane wszechobecnym plastikiem. Pokazywanie w sposób prosty wybranego fragmentu natury ma uzmysłwić maluchom i starszym dzieciom jak wygląda otaczający je świat i być może zwrócić uwagę na detale, „widzenie” a nie tylko „patrzenie” na to, co jest wokół nich.

Autorki przywołują jako motto swojej działalności cytaty z Richarda Louv: *Dzieci potrzebują przyrody do prawidłowego rozwoju zmysłów, a więc do uczenia się i do aktywności twórczej*. Idąc tym tropem, może lepiej jednak zabrać dziecko do lasu, pokazać wszystko nie we fragmentach, tylko jako całość, w innej skali, a dziecko samo będzie instynktownie potrafiło zaadaptować nowe doświadczenie...

Zabawki te nie są tanie i tak jak już wielokrotnie pisałam o podobnych wystawach, ciężko nie zwrócić



uwagi właśnie na ten aspekt, tym bardziej, że sami w dzieciństwie bawiliśmy się tym, co zostało znalezione na podwórku, patykami, korą, liśćmi, z których dzięki naszej wyobraźni powstawały niekiedy całe scenariusze zabaw.

W bibliotece Instytutu Dizajnu możemy natomiast oglądać wystawę „Punkt widzenia”, to powstałe w 2010 r. w Łodzi studio, powołane przez Martę i Michała Sicińskich. Na Początku działalności rozpoczęło współpracę z Fashion Week Poland, Fashion Film Festivalu, Young Fashion Photographers Now. Główną cechą większości projektów studia jest oszczędna gama kolorystyczna, niemal całkowicie monochromatyczna, niekiedy przetwarzana oszczędnym w wyborze kolorem. W swoich pracach sięgają często do stylistyki collage'u inspirowanego fotografią. Oprócz plakatów na wystawie zaprezentowano projekty opakowań kawy oraz książki.

## „widzenie” a nie tylko „patrzenie”

Ciekawym aspektem działalności studia jest tworzenie kompleksowych rozwiązań, i nie chodzi jedynie o identyfikację wizualną firm, lecz o opracowanie scenografii, książki i wyżej wspomnianej identyfikacji wizualnej np. do spektaklu Komedy „Moja stodka



Fot. Tomasz Kozłowski



europejska ojczyzna” odbywającego się w ramach 6 Letniej Akademii Jazzu. W tym przypadku, z wykorzystaniem jedynie dyskretnych linii prostokątów, połączono ze sobą – w aranżacji przestrzeni scenicznej, której wizualność miała „odbicie” w okładce z wykrojnikami, na której powtórzone ten sam motyw, co stworzyło spójną całość. Współpraca natomiast z Wi-Ma podkreśla wszechstronność studia i podejmowanie się projektów nie tylko związanych z „papierem”.



# Wizyta w króliczej norze

„Alicja w Krainie Czarów” Lewisa Carrolla, profesora matematyki z Oxfordu, od zawsze pobudzała wyobraźnię. Inspirowała wielu twórców filmu, teatru czy literatury. Wystarczy wspomnieć kultowe adaptacje Tima Burtona czy Walta Disneya. We współczesnej kulturze znajdziemy wiele odniesień do czarodziejskiego świata, stworzonego przez Lewisa Carrolla.

Agata Kulik



**TYM RAZEM TO WSPÓŁCZESNA** kultura wdarta się do świata Alicji. Stało się to za sprawą dyrektorów Kieleckiego Teatru Tańca – Grzegorza i Elżbiety Pańtak. Stworzyli oni na kieleckiej scenie przepiękne, warte obejrzenia widowisko.

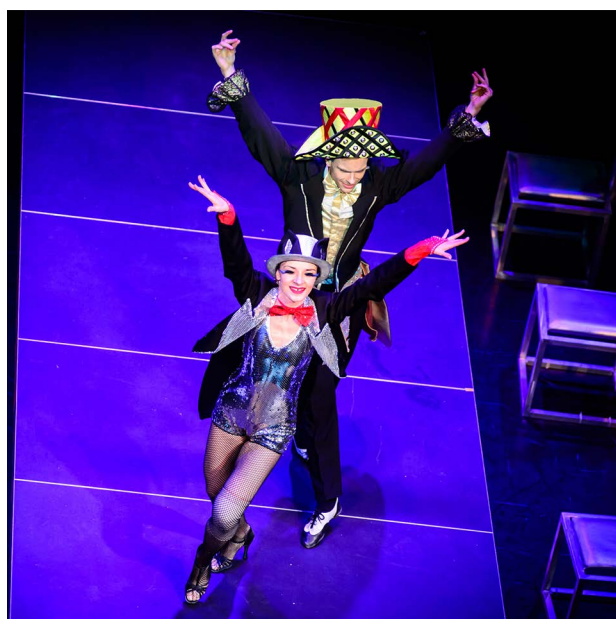
„Alicja w krainie Czarów” została zrealizowana z wielkim rozmachem. W dwugodzinnym spektaklu bierze udział ponad sześćdziesięciu zawodowych tancerzy z Kieleckiego Teatru Tańca oraz uczniów Szkoły Tańca KTT. W przedstawieniu wykorzystano około trzystu przepięknych kostiumów zaprojektowanych przez Małgorzatę Słoniowską. Scenografię stworzoną przez Grzegorza Pańtaka, podkreślają baśniowe wizualizacje kielczanki – Jaśminy Parkity. To ona zaprojektowała między innymi okładkę płyty Czesława Mozilla i zepsotu happysad. Jej oniryczne ilustracje nadają smaku



wizualnej stronie tego spektaklu. Za stworzenie wizualizacji byli odpowiedzialni również: realizator dźwięku Grzegorz Kaczmarczyk i fotografik Bartosz Kruk.

Kielecka inscenizacja to dość luźna adaptacja łącząca dwie części książki „Alicja w Krainie Czarów” i „Alicja po drugiej stroni lustra”. Elżbieta Pańtak, która napisała libretto do tego przedstawienia, zawarła w nim również motyw z popkultury XX wieku. Na scenie zobaczymy więc Różową Panterę i Marilyn Monroe. Seksbomba zatańczy dla nas w różowej sukni do muzyki z kultowej piosenki „Diamonds Are a Girl’s Best Friend” z filmu „Mężczyźni wolą blondynki”. Ciekawie potraktowana została też postać Kota z Cheshire, który w kieleckiej „Alicji” ma różne oblicza. Zobaczymy więc Kota Ogrodowego, Rewiowego i Sfinksa.

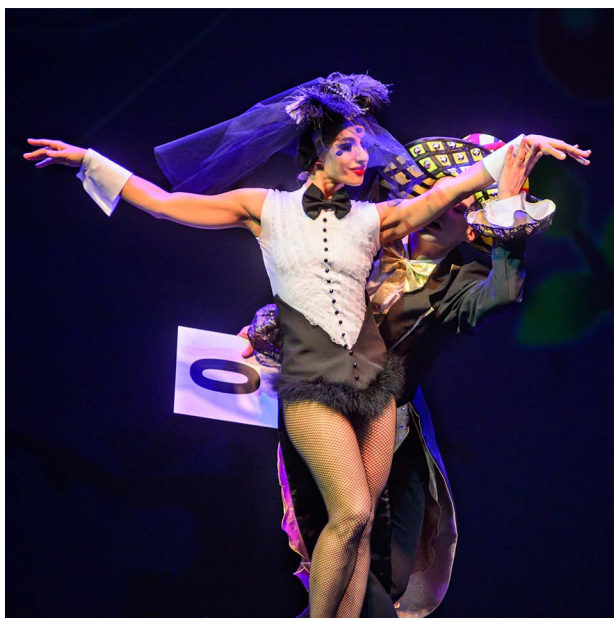
„Alicja w Krainie Czarów” to spektakl niezwykle kolorowy i plastyczny. Pierwsza część zachwyca





## Charlie Chaplin, Różowa Pantera i Marilyn Monroe

feerią barw. Przenosimy się bowiem wraz z bohaterką do czarodziejskiego ogrodu, w którym wspólnie tańczą Piwonie, Róże i Stokrotki. Fruwają Ważki i przepiękne Motyle i tylko czasem znajdzie się jakiś Ślimak, który próbuje pożreć czarodziejskie rośliny. Szczególnie widowiskowa scena, która na pewno przypadnie do gustu najmłodszym widzom, to ukazanie ogrodu nocą, kiedy wśród blasku gwiazd, budzą się do życia Świetliki. Ciekawe zostało rozwiązane zmniejszanie i powiększanie się Alicji w słynnej scenie z ciastkiem i buteleczką. Na uwagę zasługuje taniec Pana i Pani Stonóg (w tej roli twórcy spektaklu – Elżbieta i Grzegorz Pańtak) wraz z całym stepującym stadkiem malutkich Stonózek.



Fot. Bartosz Kruk (archiwum KTT)

motyw z filmu „Różowa Pantera” czy wspomniane już „Diamonds Are a Girl’s Best Friend”

Dzięki spektaklowi „Alicji w Krainie Czarów” możemy przenieść się w baśniowy świat, który ma dużo do zaoferowania, zarówno dużym, jak i małym widzom. ■

Druga część spektaklu to wizyta w mrocznym zamku Królowej Kier. Zobaczymy w niej pojedynek Alicji z Królową i widowiskową bitwę Tali Kart. Mnie jednak najbardziej urzekła scena w komnacie luster. Romantyczne, choć straszne Duchy dosłownie suną po scenie, dzięki niekonwencjonalnemu wykorzystaniu elektrycznych dwukotowych desek. Ich taniec naprawdę robi wrażenie.

Spektakl Kieleckiego Teatru Tańca to rodzaj widowiska z repertuaru niemal rewiowego, wziętego z musicali lat dwudziestych XX w. Na scenie możemy zobaczyć wiele odmian jazzu, a więc shim sham, ragtime, stepowanie, broadway jazz, liryczny jazz czy modern jazz, ale także klasyczny walc. To kolaż znanych standardów muzyki filmowej i rozrywkowej, w tym m.in. utwory skomponowane przez Charliego Chaplina,





# Selfie na scenie

Agnieszka Kozłowska-Piasta

**Czy wyobrażacie sobie, co czuje człowiek znajdujący się na szczycie drabiny, który stwierdza, że drabina stoi pod niewłaściwą ścianą? Tę metaforę przytoczył w jednym ze swoich wywiadów Joseph Campbell, amerykański antropolog, religioznawca i guru mitologii porównawczej, tropiący podobne motywy i wątki w opowieściach o bogach pochodzących z różnych kontynentów, kultur i społeczeństw.**

DO PORÓWNIANIA DOŁĄCZYŁ także przynębiającą diagnozę współczesności: to przydarza się większości ludzi. Świat jest teraz taki, że wszyscy wspinamy się nie na te szczyty, co potrzeba. Podobne przemyslenia przyświecały chyba twórcom spektaklu-koncertu „Kropka kreska, kropka kreska” w Teatrze im. S. Żeromskiego.

Wymykające się klasyfikacji dzieło (to spektakl, koncert, widowisko, eksperyment?) stworzyła interdyscyplinarna grupa młodych twórców, tytułująca się „Po co komu Kolektyw”. Tworzą ją młodzi aktorzy, reżyserzy, dramaturdzy, muzycy, performerzy, choreografka, tancerka i twórcy videoart. Inspiracją do niego stał się film Jonathana Demme „Stop making sense”, dokumentujący koncert zespołu Talking Heads z 1984 r. Twórcy zarzekają się, że produkt finalny jest zbiorową kreacją, w której każdy miał równie dużo, równie ważnych rzeczy do powiedzenia i zadecydowania, nikt nie dominował, demokratycznie stworzono dzieło, kolektywnie uszyte jak patchwork z chęci, potrzeb, pytań, artystycznych i osobowościowych poszukiwań jej twórców.

Nad całością czuwał aktor i jednocześnie debiutujący reżyser Paweł Paczesny, wspierający się o dramaturgiczne pomysły Tomasza Jękota, współpracującego z Maciejem Podstawnym, obecnie w teatrze w Wałbrzychu. Powstały w ten sposób koktajl urzeka różnorodnością wypowiedzi. Swoją rolę odgrywa nie

tylko dźwięk, tekst, ale i taniec, projekcje wideo, choć trzeba przyznać, że to muzyka odgrywa rolę najważniejszą. 17 kompozycji, z których cztery zapożyczono od Talking Heads, a reszta powstała na potrzeby spektaklu, nie jest przypadkowych. Mówią o utracie sensu, pytaniach, poszukiwaniu miłości, utrudach współczesności i wielkiej tęsknocie, aby to wszystko jakoś zmienić, przerobić, poprawić. Pytanie tylko jak?

Mimo zbiorowej kreacji i wielkiego talentu jej twórców, cały show kradnie aktorka Magda Grąziowska, która jak David Byrne w Talking Heads spełnia rolę mistrza ceremonii, obdarzona niezłym głosem, energią i charyzmą, wprowadza nas w pełen meandrów świat widowiska. Film Demme’a jest wiernym zapisem koncertu, który rozwija się jak bolero: od nieśmiały, solowych gitarowych popisów Byrne’a, po prawdziwe widowisko z pełną instrumentacją, chórkami, tańcem, projekcjami filmowymi, a nawet intermediami teatralnymi. W „Kropce kresce, kropka kresce” bolero już trwa, kipi energią, wodzi widzów za nos, odbiera i zmienia sensory. Gdy już wydaje nam się, że wiemy, o co w tym wszystkim chodzi, pojawia się... wielki żółty ptak, który opowiada o bezsensie bycia aktorem i internetowym hejcie, muzycy przebierają się w kostiumy rodem z lat 80., a na wideoprojekcji obserwujemy zapis

**Wszyscy wspinamy się nie na te szczyty, co potrzeba.**

sesji terapeutycznych i kaznodziejskie popisy rodem z amerykańskiej kablówki. „Stop making sense” radziła grupa Talking Heads. Zajrzyjmy więc do programu: aktorzy odgrywają role z angielska brzmiących Blessing, Thanksgiving, jest Preacher, Wampir i Diabeł. To może tytuł pomoże. „Kropka kreska, kropka kreska” istnieje w alfabecie Morse’a, ale nic nie znaczy.

Można uznać ten spektakl-koncert za diagnozę współczesności i próbę sprzeciwu wobec świata, w którym nie istniejesz, jeśli nie ma cię na portalach społecznościowych i nie zaśmiecasz netu odpowiednią ilością komentarzy i upozowanych selfie. Można dopatrywać się w nim próby buntu i sprzeciwu wobec miatkości i płyty, w jakich brodzimy i przełożyć „ponadepokowy” most, pokazując, że bunt młodych jest nieodłącznym składnikiem każdej codzienności, tej dzisiejszej i tej sprzed 20, 30, 40 czy nawet 50 lat. A może po prostu zanurzyć się w tej inspirującej teatralnej

i muzycznej materii i smakować ją bez interpretacji, po prostu ją poczuć. Jeśli się uda, być może przestawimy drabinę pod inną ścianę lub chociaż skasujemy z telefonu selfie zrobione przed rozpoczęciem spektaklu (ciekawie, jakimi komentarzami opatrywali je widzowie). Może – za radą Josepha Campbella zdecydujemy, że musimy pozbyć się życia, jakie zaplanowaliśmy, aby mieć życie, które na nas czeka. A może nie pocujemy nic. Ale wtedy... po co komu Kolektyw? ■

# Wielokropek

Agata Kulik

**Najnowsza produkcja Teatru im. Stefana Żeromskiego w Kielcach pod tytułem „Kropka kreska, kropka kreska” odznacza się pewną niezwykłością. Po pierwsze nie jest to zwyczajne przedstawienie teatralne, a raczej koncert – dokładnie mówiąc koncert performatywny.**

NIE TYLKO FORMA „Kropki kreski, kropki kreski” jest niecodzienna. Spektakl ten został bowiem powołany do życia przez grupę artystyczną „Po co Komu Kolektyw”, którą tworzy interdyscyplinarny zespół (m.in. aktorów, scenografów, muzyków, choreografów i reżyserów). Pomysł tego przedsięwzięcia opiera się niejako na eksperymencie, który polegał na stworzeniu warunków do pracy zespołowej. Każdy mógł do tego przedstawienia „wnieść siebie”, swój wkład, nie bojąc się przy tym odrzucenia czy braku akceptacji. Z założenia nie było tu lidera, co nie znaczy, że nie było reżysera (Paweł Paczesny). W tym projekcie liczyła się kolektywna praca. Przedstawienie zostało w dużym stopniu zainspirowane kultowym filmem z trasy koncertowej zespołu Talking Heads – „Stop making sense”. Każda piosenka to jakby obraz odzwierciedlający fragment osobowości poszczególnych członków zespołu (pomysł zaczerpnięty właśnie od Talking Heads).

Sam tytuł „Kropka kreska, kropka kreska” miał nawiązywać do nieistniejącej sekwencji w alfabecie Morse’a, która w teorii nie oznacza po prostu nic – stop making sens. Okazuje się jednak, że sekwencja ta

oznacza literę „a” i choć być może, jest to po prostu przypadek (?), to dla mnie jest on znaczący. Nie szukamy sensu, bądźmy ze sobą, mówią twórcy „Kropki, kreski”. Ale tak naprawdę sens jest w nim zawarty. To tak jak z ogonkiem literki „a”: niby nieznaczący (zwłaszcza w dobie Internetu), a jednak jest i czasem potrafi nadać wyrazom zupełnie inny sens.

Spektakl, w którym mamy niby z założenia nie szukać treści, tylko być, trwać w nim, treść jednak przemycą (ten „kokieteryjny” zabieg jakoś przestał już mnie w teatrze bawić). Pokazuje pokolenie dzisiejszych 30-latków, czyli pokolenie twórców „Kropki kreski”, którzy nie widzą w swoim życiu sensu lub sens sobie próbują stwarzać sztucznie, nie bardzo w niego wierząc, chodząc na terapie, których nie kończą, szukając prawdy we wspólnocie, w nic nie wierząc, choć może bardzo by chcieli. Brakuje im czegoś prawdziwego, w świecie powierzchowności, masek i chaosu informacyjnego. Być może potrzebują, być po prostu, bez żadnych pretekstów, czy wydumanych teorii.

Moją uwagę zwróciły niesamowite wokale Magdy Grąziowskiej i Olgi Mysłowskiej. Należy też pochwalić materiały wideo, które trzymały w niektórych momentach przedstawienie (i mnie) przy życiu. Bardzo podobają mi się rola statycznej Olgi Mysłowskiej, która moim zdaniem „skradła” cały spektakl.

I choć „Kropka kreska, kropka kreska” z założenia wydaje się być świeża i nowatorska, to jednak brakuje w niej czegoś, co, by mnie zauroczyło czy porwało. Miałam wrażenie, że jest to spektakl warsztatowy, brakło w nim jakiegoś ducha, choć muszę przyznać,

## Dobra zabawa bez ducha.

że na scenie panowała dobra zabawa, tylko jakoś nie udzieliła się ona i mnie. Być może mam już dość pseudo postmodernistycznego betkotu, być może kolektyw nie ma do zaoferowania nic odkrywczego, a ja tego bym oczekiwała. Być może za dużo widzę w „Kropce i kresce” tego, co ktoś zrobił 33 lata temu. Być może, ktoś ma jednak inny punkt widzenia, dlatego stawiam trzy kropki, by każdy mógł wstawić sobie w to miejsce swoje własne spostrzeżenia. ■





# Współcześnie i retro

Agnieszka Kozłowska-Piasta

**Minęło zaledwie dwa miesiące nowego roku, a Teatr Lalki i Aktora „Kubuś” może pochwalić się już dwiema nowymi produkcjami dla całkiem małych i trochę większych widzów.**

NAJPIERW ZESPÓŁ ZAPROPONOWAŁ uroczą, kruchą pantomimę „Opowieść o Piotrusiu i Wilku” w reżyserii Bartłomieja Ostapczuka, wprowadzającą w tajemniczy świat muzyki Sergiusza Prokofiewa. Pod koniec lutego przyszła pora na teatralny eksperyment – pierwszą sceniczną realizację współczesnej baśni „Wojna, która zmieniła Rondo”, zainspirowaną konfliktem zbrojnym od kilku lat rozgrywającym się na terytorium sąsiedniej Ukrainy.

„Opowieść o Piotrusiu i Wilku” to kolejna przygoda z pantomimą w kieleckim teatrze. Po inscenizacji opowiadania Andrzeja Kuby Sielskiego „Pan Bam i ptak Agrafka”, Bartłomiej Ostapczuk zdecydował się na ciekawą interpretację symfonicznej bajki napisanej przez Sergiusza Prokofiewa ponad 80 lat temu. Tym razem to nie tylko opowieść o małym dzielnym chłopcu, który łąpie groźnego wilka i odprowadza go do ZOO. To opowieść o naszych wadach i zaletach, które bez

trudu odnajdziemy w postaciach towarzyszących Piotrusiowi zwierzątek: Ptaszka, Kota, Gęsi czy Wilka. Pokazuje, co może się wydarzyć, gdy zbyt łatwo ulegamy pokusom i nie przestrzegamy zasad, goniąc za własnymi marzeniami, pragnieniami i zachciankami. Bohaterowie potraktowani są jednak z dużą wyrozumiałością: przecież popełnianie błędów i narażanie się na niebezpieczeństwa to przywilej dzieciństwa i młodości, bez nich nie ma dorastania i doświadczania świata, a nasze życie nie ma ani sensu, ani smaku. Zwłaszcza, że przecież prędzej czy później dobiegnie końca.

Prowadzeni przez jednego z lepszych polskich mimów kieleccy aktorzy radzą sobie z cielesną materią pantomimy bardzo dobrze i dużo lepiej w stosunku do poprzedniego przedstawienia. Precyzja ruchów i gestów sprzyja nie tylko zrozumieniu fabuły, ale także, a może przede wszystkim, wycuciu pantomimicznej poezji i subtelności ruchów. Mnie urzekła zwłaszcza Ewa Lubacz jako Gąska, lubiąca świecidetka i momentami drapieżny, groźny, momentami przyjacielski, a nawet zagubiony Michał Olszewski w roli Wilka.

„Opowieść o Piotrusiu i Wilku” to szansa na spotkanie młodych widzów z niezbyt docenianą muzyką symfoniczną i równie mało poważaną pantomimą. I choć młoda widownia wydaje się być nieprzygotowana na taką formę opowieści scenicznej (sama słyszałam zniecierpliwionych widzów, którzy z niepokojem pytali: kiedy wreszcie zaczną gadać?), jest doskonałym i wartościowym antidotum na przegadane kreskówki i amerykańskie seriale, w których śmiechy z offu tylko na chwilę przerywają potoki słów, wypowiedane z szybkością karabinu maszynowego.

Zupełnie inną propozycją jest druga premiera – ukraińska baśń przybliżająca dzieciom w poetycki sposób okrucieństwo wojny. Spektakl zrealizowano na podstawie opowieści Romany Romanyszyn i Andrija Łesiwa, krótkiej, ale niezwykle ciekawej plastycznie książki „Wojna, która zmieniła Rondo” zaznajamiającej dzieci z trudną sytuacją polityczną i społeczną na ogarniętej konfliktem zbrojnym Ukrainie. Jak najprościej przekonać dzieci, że wojna i bitwy, które znają

choćby z gier komputerowych, to tak naprawdę zagłada i nieszczęście? Najprościej można to zrobić angażując dzieci w spektakl i właśnie tę formę wybrała reżyserka spektaklu Judyta Bertowska i autor adaptacji Amadeusz Nosal. Dzieciaki najpierw wspólnie z akto-



## z dziećmi można rozmawiać



rami projektują, malują, wymyślają swoje idealne miasto. Aktorzy Magdalena Daniel, Zdzisław Reczyński i debiutujący na scenie Dawid Malec dwoją się i troją, by zburzyć barierę między sceną i widownią, ośmielić małych i dużych widzów, by poczuli się istotną częścią spektaklu, częścią scenografii, mieszkańcami Ronda.

Idealne miasteczko pełne miłości, muzyki i delikatności, symbolizowanej przez śpiewające kwiaty z oranżerii, nawiedza wojna. To już nie jest jakieś tam Rondo. To nasze Rondo, aktorów i widzów. Wojna przychodzi nie wiadomo skąd, siejąc mrok, zagłuszając muzykę, niszcząc wszystko co napotka na swojej drodze. Tylko współpraca mieszkańców Ronda, ich siła, zapał i odwaga mogą zatrzymać wojenną machinę. Widzowie mają szansę poczuć, czym jest wspólnota, chętnie angażując się w obronę miasta. Wojnę udaje się pokonać.

Ta baśń nie ma jednak happy endu. Bohaterowie wychodzą z wojny okaleczeni: szklany Danko ma rysę na wysokości serca, papierowy Zirko osmalił sobie skrzydełka a leciutki i dociekliwy Fabian kuleje na łapkę. W mieście wyrosły także czerwone maki, gruzowiska i zniszczenia długo trzeba będzie odbudowywać, ale przecież nie wszystko da się naprawić i nic już nie będzie takie jak dotychczas.

To jasne i bardzo jednoznacznie postawione przesłanie może jednak nie do końca wybrzmieć wśród nieletniej publiczności. Przedstawiona w spektaklu Wojna jest bardzo delikatna

i mało groźna. Co prawda niesie mrok, co prawda jeżdżą czołgi, spadają bomby, ale są jedynie płaskimi, ciemnymi, schematycznymi cieniami na ekranie. Dla dzieci karmionych realistycznymi, drapieżnymi, często nazbyt brutalnymi, trójwymiarowymi sztucznymi obrazami światów prosto z gier komputerowych, ta estetyka może być zbyt naiwna i za mało straszna. Zwłaszcza, że spektakl przeznaczony jest dla dzieci powyżej 7 lat.

Z wielką ciekawością chodzę do Teatru Lalki i Aktora „Kubuś” na kolejne premierowe spektakle. Od pewnego czasu jakoś tak się dzieje, że każde nowe przedstawienie pokazuje kolejną, nową odstonę bardzo przewidywalnej kiedyś sceny lalkowej w Kielcach. Okazuje się m.in., że mała scena wcale nie jest mała, że aktorzy potrafią więcej niż dotychczas i że z dziećmi można rozmawiać o poważnych sprawach w sposób współczesny i nie trącący myszką. Na dodatek „Kubuś” nam dojrzał, oferując całkiem bogaty i bardzo ciekawy repertuar dla młodzieży i dorosłych, choć jeszcze chyba nie wszyscy w naszym mieście to zauważyli. Nie inaczej było także podczas tych dwóch premier. Tym razem przekonałam się, że w „Kubusiu” potrafią eksperymentować, oferując spektakl interaktywny o wojnie i nie boją się trudnych „staroświeckich” wyzwani: pantomimy i muzyki symfonicznej.■

Fot. Bartek Warzecha (archiwum TLIA „Kubuś”)



„Wojna, która zmieniła Rondo”





Václav Havel  
**Utwory sceniczne**  
663 s. ; 25 cm  
Warszawa : Wydawnictwo  
Krytyki Politycznej, 2016  
821.162.3-2

# Prezydent wita Micka Jaggera

Paweł Chmielewski

**Czesi mają jednak odrobinę lepiej. Trochę bardziej z boku i mają Szwejka. Historię może mniej heroiczną, ale stolicę nie w kawałkach i kino bardziej surrealistyczne. Franza Kafkę i okultystów. Nawet ich prezydent spotkał się z Rolling Stonesami.**

**SŁABĄ MAM WYOBRAŹNIĘ**, ale nasi wybrańcy narodu na mapie muzycznej rozkładają mi się od disco polo w porywach do opery Moniuszki. Polski polityk z Sidem Viciousem, Ianem Andersonem czy Alanem Pricem to jak spotkanie bliskie co najmniej czwartego stopnia. A Václav Havel stał w dżinsach, palił papierosa i gawędził z Mickiem Jaggerem i Keithem Richardsem. Był naturalny. Dla świata zewnętrznego stał się na pewno atrakcją – opozycjonista, więzień polityczny, eseista, dramaturg, polityk, dla którego garnitur był zbędnym i uciążliwym przebraniem. Wyobrażam sobie taką scenę – Londyn, polski minister chowający się w pokoju, a Havel zaśmiewa się z dowcipów Petera Gabriela (to ten od ścieżki dźwiękowej „Ostatniego kuszenia Chrystusa”), gdzieś obok mógłby się też przechadzać Elton John. Havel był zdystansowany, jak prawie cała czeska kultura (może z wyjątkiem Karela Gotta), autoironiczny. Ukazał się właśnie po polsku pierwszy, pełny przekład jego „Utworów scenicznych”.

Już otwierające tom „Garden party” (1963) pokazuje fascynację autora teatrem absurdu. Wielokrotnie powtarzane sceny, tylko z drobnymi zmianami, dialogi „obok” rozmówcy, które toczy rodzina Pludków – w istocie nic nie znaczące, podskórne, bo nie wypowiedziane wprost poczucie zagrożenia, nadpisane nad – zapośredniczoną językiem ezopowym – sytuacją sceniczną, w której „robiący karierę” młody Hugo Pludek (reprezentant burżuazyjnej klasy średniej) w Urzędzie Likwidacyjnym i Służbie Moderatorskiej, które po chwili z oddaniem likwiduje. Ujęte wreszcie w ironiczny nawias zakończenie – bezpośredni zwrot do publiczności, podkreślenie, iż oto jesteśmy w sytuacji teatralnej, wykreowanej – to wszystko ma w sobie coś z klimatu „Pluskwy” Majakowskiego, dramaturgów

zachodnich tworzących w latach 50. i 60. – Harolda Pintera, Eugene’a Ionesco. Dwie wersje „Anioła stróża” (jednoaktówka, 1964 i słuchowisko 1968) to groteskowa scena spotkania wybitnego pisarza z wielbicielem (a w trakcie dialogu zostaje zasugerowane, reprezentantem urzędu). I wszystko byłoby pięknie, gdyby nie fakt, że nasz wspaniały, podziwiany literat ma zbyt wielkie uszy. Zaś szczęście osobiste, szczęście narodu opierać się nie może na – wyhodowanych wbrew ewolucji – zbyt wielkich uszach.

Tak oto powoli zbliżamy się do schyłku pierwszego okresu twórczości Havla. Drugi, lata 70. naznaczony działalnością opozycyjną, to przede wszystkim słynne jednoaktówki: „Audiencja”, „Wernisaż” (obie 1975), „Protest” (1978), spięte postacią „zredukowanego” inteligenta Ferdynanda Wańka.

Świat jest z gruntu dobry, najlepszy jest może pan Browarnik, ale prawdę powiedziawszy on też świnia. Te słowa mogłyby padać w „Audiencji”. Osoba Wańka jest ściśle wpisana w kontekst polityczny czeskich lat 70., gdy nieprawomyślnych artystów kierowano na reedukację do pracy fizycznej. Waniek usiłując ocalić godność w tym świecie małych, dość paskudnych ludzi, nie godzi się na propozycję pisania donosów (na samego siebie – ten surrealizm będzie znakiem rozpoznawczym autora „Largo desolato” do końca), by ocalić święty spokój pracowników browaru. W warstwie konstrukcyjnej Havel nie odrzuca rozwiązań wypracowanych kilkanaście lat wcześniej. Kwestia *Lepiej podtać niż toczyć*, całe sekwencje scen wracają jak refren.

Ten sam Waniek w jednoaktówce „Wernisaż” zaproszony zostaje do znajomych, zadowolonych mieszczan czeskiej „małej stabilizacji” (znamy ten klimat z bardzo popularnych – również w Polsce – seriali „Kobieta za ladą”, „Pod jednym dachem” itd.). Gorzki nonkonformizm Wańka stał się charakterystycznym stemplem dramaturgii Havla. Nawet w ostatnim tekście „Odejścia” (2007) – skonstruowanym jako „teatr w teatrze”, z Głosem/narratorem komentującym wydarzenia sceniczne – choć nie ma już klimatu (postępuję się terminem z polskiej krytyki) małego realizmu, charakterystycznego dla literatury demoludów szóstej i siódmej dekady ubiegłego wieku, to rozpisana na pięć aktów historia ustępującego kancle-rza jest wciąż opowieścią o idyllicznym świecie, który skrywa niejedną, oślizgłą tajemnicę. Nie bez powodu pojawia się – w tym pożegnalnym dla wielkiego pisarza i człowieka – utworze scenicznym, cytat z „Wiśniowego sadu” Antoniego Czechowa. ■

Najlepszy jest może pan Browarnik, ale prawdę powiedziawszy on też świnia.

# Poszukiwacze w lawinie tekstów

Sylwia Gawłowska

**Koniec 2016 roku przyniósł interesujące dla wielbicieli muzyki rockowej propozycje czytelnicze. Wśród nich, szczególną uwagę warto poświęcić książce wydanej nakładem Instytutu Kultury Popularnej „Nowe sytuacje polskiego rocka. Teksty – głosy – interpretacje”. Jej autor – Paweł Tański, prof. UMK w Toruniu – to człowiek zaangażowany w działania popularyzujące wartościowe zjawiska kultury rockowej nie tylko w dyskursie naukowym, ale także w środowisku młodych odbiorców sztuki. Książka stanowi świadectwo nieustannej ewolucji muzyki rockowej i jej... aktualności.**

NAWIĄZUJĄCY DO TEKSTU PIOSENKI „Nowe Sytuacje” Grzegorza Ciechowskiego tytuł jest optymistyczną diagnozą sytuacji polskiej kultury rockowej i inspiracją dla aktywnych poszukiwań nowych twarzy polskiego rocka. Zdawać by się mogło, że formuła funkcjonowania kultury rockowej – znana nam z czasów jej rozkwitu w latach 80. – współcześnie nie istnieje. Głosów wydających ostateczny werdykt nad nią i podkreślających jej współczesną agonię nie brakuje. Docierają one do nas ze strony wielu środowisk: fanów, organizatorów festiwalu i koncertów, menadżerów, a nawet samych muzyków. Książka Pawła Tańskiego dowodzi jednak, że to, co stanowi jej najbardziej wyrazisty i osobisty element, żyje nadal i wśród kolejnych pokoleń autorów rockowych, objawia się w nieszablonowych, artystycznych dokonaniach. Mowa tu oczywiście o tekstach piosenek.

Paweł Tański zauważa estetyczną korespondencję poetyki współczesnych artystów z pokoleniem artystów reprezentujących dekadę lat 80. i 90. Stąd w książce poddane zostają analizie zarówno teksty Grzegorza Ciechowskiego, Kory Jackowskiej, Lecha Janerki, Andrzeja

Michorzewskiego, Grzegorza Kaźmierczaka, jak i twórców młodego pokolenia – Jacka Bończyka, Bartosza Waglewskiego czy Błażeja Króla. Wspólny mianownik odnajduje badacz w kilku aspektach, m.in.: tematyki (kontestacji rzeczywistości, poczuciu alienacji, gniewu, depresji, oniryczności, miłości) czy też konsekwentnej i charakterystycznej dla tekstu rockowego podmiotowości, czyli konstytuowaniu opisu świata w oparciu o doświadczenia i przeżycia twórczego „ja”. Co w konsekwencji utrwała w każdej piosence rockowej silny indywidualizm wypowiedzi.

Tytułowe „Interpretacje” Pawła Tańskiego to podróż osobista, niekiedy może nawet sentymentalna. W naukowej optyce i metodologii badacza, nie brak typowej dla fana muzyki rockowej – identyfikacji z nadawcą. Dzięki takiemu połączeniu czytelnik „Nowych sytuacji...” ma okazję do wypracowania własnego spojrzenia i odmiennej od zaproponowanej przez autora interpretacji, co jednak nie zmienia faktu, że optyka Pawła Tańskiego jest bardzo wiarygodna i trafnie argumentowana. Bezsprzecznie sposób analizy może inspirować czytelników do sięgania po płyty. Może także – co bodaj najistotniejsze – zmieniać nasze szablone wyobrażenia o artystach reprezentujących nurt muzyki rockowej czy alternatywnej. Na uwagę czytelnika zasługuje ponadto – nieczęste dziś – dążenie autora do odkrywania wartościowych zjawisk

artystycznych na polu tzw. „tekściarstwa”. Jestem przekonana, że taka właśnie postawa jest najcenniejszą, nie tylko dla samych artystów, walczących o każdego odbiorcę. Przede wszystkim, postawa taka jest istotna z punktu widzenia każdego uczestnika kultury, który zmagając się z lawiną lansowanych przez współczesną pop-kulturę propozycji, musi wykonać kolosalny wysiłek, aby móc dotrzeć do czegoś, co może być wartościowe.

Jestem pewna, że lektura książki Pawła Tańskiego „Nowe sytuacje polskiego rocka. Teksty – głosy – interpretacje” ułatwi każdemu jej czytelnikowi to ważne dla budowania naszej wrażliwości i czułości na sztukę – poszukiwanie. 

PAWEŁ TAŃSKI  
NOWE  
SYTUACJE  
POLSKIEGO  
ROCKA  
TEKSTY  
GŁOSY  
INTERPRETACJE



INSTYTUT  
KULTURY  
POPULARNEJ

Paweł Tański  
**Nowe sytuacje polskiego rocka. Teksty, głosy, interpretacje**  
180 s. ; 21 cm  
Poznań : Fundacja Instytut Kultury Popularnej, 2016  
821.162.1(091)-1\*19/20\*:78.011.26(438)

optymistyczna diagnoza sytuacji polskiej kultury rockowej



# Grać na niewidzialną nutę?

Marta Baran

**Cisza to dźwięk. Gdyby spytać muzyka, jakim symbolem na pięciolinii oznacza ciszę, najprawdopodobniej, by zamilkł. Takich bowiem, cisza najczęściej wprawia w zakłopotanie. W efekcie sięgają po najróżniejsze instrumenty, by ją przezwyciężyć. W opozycji do muzyków stoją kompozytorzy.**

*MUZYKA DO MOMENTU WYKONANIA zawsze jest ciszą, sferą wyobrażenia dźwiękowej materii. Mój „pojedynek z ciszą” tak naprawdę nie istnieje. Muzyka dla mnie z ciszą doskonale się harmonizuje i współtętnuje. Jedno i drugie potrzebuje siebie wzajemnie by powstać, trwać, interferować, mieć kontekst. Komponując nie próbuję zagłuszać ciszy, wypełniać jej. – mówi Tomasz Jakub Opatka, który pod koniec zeszłego roku wydał debiutancką płytę „Emerge”.*

Artysta jest absolwentem Szkoły Muzycznej w Ostrowcu Świętokrzyskim, cieszy się mianem najlepszego polskiego współczesnego kompozytora do 35 roku życia. „Emerge” zaś, to pokłosie jego siedmioletniej działalności artystycznej (2007–2014). „Emerge” składa się z czterech rozbudowanych pod względem instrumentalnym kompozycji, czyli „Collisions of the Matter”, „Emerge”, „D.N.A.” oraz „Quadra”. Dwie pierwsze zostały wykonane przez Polską Orkiestrę Sinfonia Iuventus, kolejne to dzieło warszawskich instrumentalistów, a przy ostatnim Opatka współpracował z Orkiestrą Symfoniczną Polskiego Radia.

Każdy z utworów ma interesującą genezę. „Collisions of matter” to swoisty rejestr pracy doktorskiej Opatki.

inspiracja  
kosmosem  
i nauką

Naukowo brzmiące „D.N.A.” natomiast, to zamówienie Towarzystwa im. Witolda Lutosławskiego, które autor zrealizował na jubileuszową edycję festiwalu „Łańcuch”. „Quadra” zaś, to najwcześniejsza z wybranych kompozycji z 2007 r. Dzięki tej partyturze, artysta zajął drugie miejsce na Ogólnopolskim Konkursie Kompozytorskim im. Karola Szymanowskiego. Opatka stwierdza, że aby ujednolicić treść, wszystkie kompozycje zostały zainspirowane kosmosem oraz nauką, ciemną materią. W doborze repertuaru na płytę pierwszeństwo miały również te nagrania, które zostały zarejestrowane podczas koncertów. Orkiestrowe sekwencje rytmiczne są nasycone ogromem okiełznanej i nieokiełznanej energii, bo choć trochę eksperymentalne, to charakteryzują się precyzją wykonania.

Na „Emerge” uwidacznia się nowatorski styl muzyczny Opatki. Co w jego twórczości godne jest pozazdrosczenia przez innych twórców?

To w jaki sposób kompozytor współtworzy ciszę (lub z ciszą). To konsekwentne budowanie napięcia niczym w soundtracku do filmu akcji (a w tej odmianie muzyki artysta również się specjalizuje) i stopniowe wyciszanie dźwięku. Należy uwzględnić, że konstrukcja tak skontrastowanych partytur, zadziwia słuchaczy z racji zastosowanej przez autora redukcji aparatu wykonawczego, jak np. w utworze „D.N.A.”.

Dodatkowo na nietuzinkowość zamyśłu artystycznego Opatki wpływa fakt, iż ma on tendencję do wykorzystywania możliwości brzmieniowych różnych instrumentów. Stąd niejednokrotnie

w składzie orkiestry symfonicznej grającej utwory Opatki nie może zabraknąć baskarnetu, harfy, perkusji, czy instrumentów dętych drewnianych oraz tych blaszanych...

Obligatoryjna jest również cisza, a na tej grać potrafi jedynie sam kompozytor... i tu wypada zamilknąć i po prostu postuchać „Emerge”.



Tomasz Jakub Opatka, *Emerge*, Warner Music, 2016

# Nowoczesny jazz liryczny

Łukasz  
Rakalski

**Określa się go często jako najwybitniejszego polskiego trębacza jazzowego. Tymczasem, jego najnowszy album „Forevelle”, jeden z największych portali muzycznych allmusic.com umieścił w kategorii rock/pop. Co takiego ma w sobie Jerzy Małek, co powoduje, że jako improwizator zdobywa uznanie szerokiej publiczności?**

TRUDNO WYMIENIĆ WSZYSTKICH znanych komitów muzyków, którzy uczestniczyli w produkcji jego poprzednich albumów. Pozwolę sobie przypomnieć Jana Smoczyńskiego („Gift”, 2002), Marcina Wasilewskiego („Air”, 2011), Piotra Wyleżoła oraz Michała Barańskiego („Stalgi”, 2014). W składzie zespołu na najnowszym albumie znaleźli się muzycy młodego pokolenia: Krzysztof Łochowicz (gitara), Dominik Kisiel (instrumenty klawiszowe), Andrzej Świąs (kontrabas), Sławek Koryzno (perkusja) oraz Maciej Kądziera (saksofon altowy).

Porywający puls i melancholijny spokój to kompozycja emocji, która towarzyszyła mi przy pierwszych dźwiękach tytułowego utworu. Sekcja rytmiczna pozostaje zawieszona na powtarzającym się, systematycznym schemacie, który znakomicie koresponduje ze zrelaksowaną melodią trąbki. Krótkie, cykliczne frazy wprowadzają mnóstwo przestrzeni i decydują

o nie narzucającym się charakterze utworu. „War Saw” skonstruowany jest niemal identycznie, lecz nietuzinkowe dźwięki melodii na trąbce sprawiają, że zapominam o tym niemal natychmiast.

Moim zdaniem czarujące i jednocześnie lapidarne melodie są najmocniejszym atutem albumu. Spokój z jakim zostały zinterpretowane przez Jerzego powoduje, iż nawet najbardziej intensywne lawiny dźwięków brzmią dziecinnie prosto. W balladzie zatytułowanej „Idealist” pojawiają się dość wysublimowane współbrzmienia pod palcami Dominika. Dzięki temu zrelaksowany temat utworu zyskał wiele intrygujących kolorów.

Wszystkie elementy, charakterystyczne dla całego albumu, słychać również w „Sweet Blue T”.

Utwór ten wyróżnia jednak bardzo błyskotliwa melodia wykonana w dwugłosie przez Jerzego i Macieja. Pełno tu zaskakujących momentów zwrotnych i nawiązań do tradycji muzyki bebopowej. Przypadło mi do gustu również solo Dominika. Jego sposób gry, poprzez determinację i precyzję, emituje mnóstwo energii.

Na pewno jest przynajmniej kilka rzeczy, których można pozazdrościć Jerzemu Małkowi. Bardzo podoba mi się jego zrównoważony styl. Przemyślane melodie bardzo szybko wpadają w ucho, lecz nigdy nie dotykają banału. Natomiast w momentach, które wymagają zdecydowanej ekspresji, za każdym razem udowadnia, że jest mistrzem gry na swoim instrumencie. Być może, właśnie dlatego jest w stanie dotrzeć do szerokiego spektrum słuchaczy. Ogólny wyraz i zabarwienie „Forevelle” nasuwa mi skojarzenie z albumem „The View from Here” amerykańskiego trębacza Kyle’a Eastwooda. W moim przekonaniu jest to tylko jeszcze jeden dowód na to, że Jerzy Małek jest twórcą formatu światowego. ■

kompozycja  
emocji  
i zrelaksowana  
melodia  
trąbki



Jerzy Małek, *Forevelle*, Kayax Production and Publishing Sp. z o.o., 2017



# I Zappa, i Gainsbourg

Pierwsza płyta, przesłuchana przeze mnie w tym roku, pochodząca z kraju, który uczył się od nas jeść widelcem i od razu duża niespodzianka. Francuzi z Aquaserge, to dla mnie największe zaskoczenie, od czasu niezapomnianego debiutu Air „Moon Safari” z 1998. To już tyle czasu minęło? No tak...

MUZYKA ZNAJDUJĄCA SIĘ TYM KRĄŻKU powstała pod wpływem tak wielu, pozornie nie do pogodzenia inspiracji, że wyliczanie ich zajęłoby całą przystługującą mi ilość znaków. Bez spacji. Jako że pracodawcy zazwyczaj nie lubią, gdy coś nam za łatwo przychodzi, to muszę napisać o tej płycie nieco więcej. Wpływy, o których

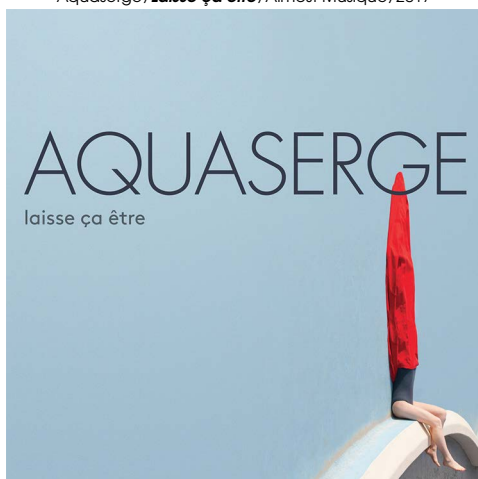
wspominałem wcześniej to zarówno scena Canterbury z lat siedemdziesiątych, a więc grupy Egg, Matching Mole, Caravan, Soft Machine i inne, jak i nowe brzmienia z lat dziewięćdziesiątych, czyli na przykład zespół Stereolab. Dodajcie do tego francuską *chanson* i nieco humoru

Franka Zappy, a otrzymacie pełen świeżości i lekkości album, który będzie z pewnością Wam umilać niejedną wieczór. I to bez wspomagania.

Najlepsze jest to, że „Laisse ça être” jest płytą prawie dla każdego. W dobrym tego sformułowania znaczeniu. Weźmy na przykład utwór „C'est Pas Tout Mais”. Fani Zappy będą wniebowzięci. Pozostali na pewno nie odsuną się od głośników. „Les Yeux Fermés”, to utwór przypominający klimatem nagrania Serge’a Gainsbourga. A to nawet nie są najlepsze fragmenty albumu. Jest uroczo i dziwnie. Bez zbytnich popisów, ale i bez umizgów do słuchacza. Piękna płyta. Do posłuchania w każdej chwili i przy każdej okazji. Oprócz gali disco polo. ■

„Laisse ça être”  
jest płytą  
prawie dla każdego.

Aquaserge, *Laisse ça être*, Almost Musique, 2017



Crystal Fairy, *Crystal Fairy*, Ipecac recordings, 2017



Rosowy, metalowy album  
drapieżnej Teresy  
Suárez.

Mirostaw Krzysztofek

## It's only rock'n'roll

Buzz Osborne, Dale Crover (Melvins), Omar Rodriguez-López (At the Drive-In, The Mars Volta), Teri Gender Bender (Le Butcherettes) to trzech facetów i jedna pani, którzy postanowili wyjść ze swoimi pomysłami poza macierzyste zespoły. I nagrać płytę, jako supergrupa.

TO STAŁO SIĘ OSTATNIO MODNE, ale na razie nie nużące. Jeszcze ta nazwa przypominająca płyn do zmywania naczyń, czy inny proszek do prania. Piszę o tym dlatego, że zbierając się do słuchania najnowszego krążka Crystal Fairy, miałem wątpliwości, czy w ogóle warto? Po pierwsze sceptycznie podchodzę do ciężkiego grania wspomaganego żeńskim głosem. Przeżywam straszną traumę, słuchając, zwykle przypadkowo, dajmy na to, grupy Evanescence. Po drugie, nie znałem wcześniej dokonań Teri Gender Bender – jej prawdziwe nazwisko to Teresa Suárez. Na szczęście moje lęki przed wampirycznymi kobietami i szowinistyczne uprzedzenia zupełnie się nie potwierdziły. Rasowy, ciężki, ale bez przesady, metalowy album powala energią i pomysłami. A w roli głównej Teresa, dynamiczna, drapieżna. Do tego należy dodać świetne kompozycje, kapitalną grę wspaniałych muzyków, pomysły. Czegoż trzeba więcej? It's only rock'n'roll but I like it. Still.

Słuchajcie Crystal Fairy.

Nie pożatujecie. ■

Piotr Kletowski

# Wieczny eksperymentator

**Lutowy koncert Ennio Morricone w krakowskim „Tauronie” był wydarzeniem na skalę europejską. Nie tylko dlatego, że był jednym z trzech (obok Wiednia i Pragi) koncertów, który mistrz ekranowego brzmienia dał w naszej części świata, ale też dlatego, że odbiegał on nieco od wcześniejszych, jakie prowadził włoski mistrz – także w Kielcach.**

Z PEWNOŚCIĄ ZE WZRUSZENIEM kielczanie wspominają wspaniały koncert twórcy muzyki do „Dawno temu w Ameryce”, który odbył się we wrześniu 2012 r., w hali Targów Kielce, podczas którego Morricone otrzymał Medal Per Artem Ad Deum – najwyższe, watykańskie odznaczenie wręczane artyście. Prócz bowiem znanych i lubianych „kawałków” takich jak „Chi-Mai” z „Zawodowca”, czy wiązanki kompozycji stworzonych do spaghetti-westernów Sergio Leone (które zresztą dały Morricone przepustkę do świata filmu), maestro zaprezentował kompozycje wcześniej nie wykonywane, jak choćby mniej znane do filmów swego przyjaciela Giuseppe Tornatore (obok szlagierów z „Cinema Paradiso”, fragmenty kompozycji do znakomitej, acz niestety zapomnianej „Baari”, gdzie Morricone świetnie oddał rytm i barwę sycylijskiej muzyki – czy najnowszego filmu Tornatore „La corrispondenza” – melodramatycznej opowieści świetnie podkreślanej oszczędną muzyką Mistrza).

Paradoksalnie, to właśnie te mniej znane utwory rzymskiego kompozytora wystawiają mu cezurę innowatora i mistrza współczesnej muzyki (nie tylko filmowej). Urodzony w 1928 r., Morricone całe życie miał długi do muzycznego eksperymentu, którym od najwcześniejszych swych kompozytorskich lat, upiększał utkane z belcanto frazy muzycznych kompozycji do filmów. Prócz studiów na uznanych uczelniach (jedną z nich – programowo trwającą cztery lata, Morricone skończył w... sześć miesięcy!), w tym na renomowanym Rzymskim Konserwatorium, od wczesnych lat 60. współpracował z zespołem Gruppo di Improvvisazione di Nuova Consonanza, który łączył klasyczne podejście do muzyki z kompozytorskim eksperymentem (polegającym np. na szerokim wykorzystaniu instrumentów jazzowych, bądź zwykłe niewykorzystanych

podczas koncertowych performance’ów). Stąd zamiłowanie do przetwarzania kanonu – tak w dziedzinie komponowania, jak i wykonywania muzyki – pozostały Morricone do dziś. Dlatego ścieżki dźwiękowe do westernów Leone wypełniają gitarowe riffy, stukot afrykańskich instrumentów perkusyjnych, czy – już w późniejszych kompozycjach – elektroniczne organy i ludzki głos wykorzystywany w sposób zaskakujący i niekonwencjonalny.

Morricone odszedł bowiem od komponowania fraz dźwiękowych, ilustrujących wyśpiewywane słowa, na korzyść wyśpiewywania przez solistów asemantycznych fraz – zupełnie tak, jak „czynią” to instrumenty (klasycznym przykładem wspaniałe, kobiece wokalizy w kompozycjach do „Dawno temu na Dzikim Zachodzie” i „Dawno temu w Ameryce”). Ale duchowa, kompozytorska „młodość” Morricone przejawia się również w ciągłym zmienianiu konwencji: od epickiego brzmienia, po sugestywny minimalizm. Wydaje się, że często do filmów amerykańskich Morricone stosuje ów „minimalizm” (każdy, kto słyszał oszczędną ścieżkę dźwiękową do „Rzeczy” Carpentera wie doskonale o co biega), zaś do filmów europejskich, albo realizowanych przez twórców europejskich Morricone „nie oszczędza” się, lecz maluje szerokie, barokowe wręcz frazy, nie tylko umiejętnie punktuje emocje w filmie, ale tworząc swego rodzaju wspaniałe, dźwiękowe tło – z jednej strony dopełniające to, co dzieje się na ekranie, z drugiej tworzące własną, integralną całość (funkcjonującą nie tylko na ekranie, ale i w koncertowych salach).

Wstuchany z zachwytem w muzyczną galopadę, jaką zafundował zebranym w sali „Tauronu” Morricone (zważywszy na jego prawie 90 lat zarażał swoją żywotnością nie tylko zespół praskich filharmoników, ale i całą wielotysięczną publiczność zebraną w krakowskiej hali), żałowałem trochę, że Mistrz nie zagrał moich ulubionych kompozycji („Romance” z „Wieku XX” Bertolucciego i kompozycji do „Nieetykalnych” Briana De Palmy), ale i tak po skończeniu koncertu odniosłem wrażenie, że było to niezwykle, wręcz transcendentne przeżycie. ■

od  
epickiego brzmienia,  
po sugestywny minimalizm



# Na ratunek lasom deszczowym

**W sekwencji otwierającej dokument „Before the Flood”, oznaczony logiem National Geographic głos Leonardo Di Caprio – który narracją swą prowadzi widza aż do napisów końcowych – wskazuje aktualne położenie gatunku ludzkiego, opisując tryptyk „Ogród rozkoszy ziemskich” Hieronima Boscha.**

LEWY PANEL OBRAZU ILUSTRUJE wyrwaną ze stanu idyllicznej beztroski ludzkość, zmuszoną zmierzyć się z konsekwencjami swych lekkomyślnych decyzji i zgubnych działań.

O tym też stadium rozwoju (rozkładu?) gatunku ludzkiego, a przede wszystkim o grozie zmian klimatycznych i anomalii pogodowych, jakie za sobą

(według prognoz przedstawianych w dokumencie) pociągną, traktuje „Before the Flood”.

Epoka „przed powodzią” umuzyyczniona została kompozycjami, nad których przygotowaniem pieczę sprawowali Trent Reznor i Atticus Ross, ostatnimi czasami uginający się pod ciężarem nowych zleceń (oto cena za Oscara dla oprawy muzycznej „The Social Network”). Kroku dotrzymywali im pozostali muzycy – argentyński gitarzysta Gustavo Santaolalla i jedna z najgłośniejszych gwiazd post-rockowego panteonu, Mogwai.

Wraz z kolejnymi oglądającymi światło dzienne albumami, szlifowanymi przez Reznora, zastużonego od lat lidera Nine Inch Nails, pokładam coraz większą nadzieję w jego wypróbowanej już solidności twórczej. I tym razem oczekiwania nie zostały zawiedzione, gdyż te ponad półtorej godziny muzycznej peregrinacji przyprowadza o wypieki na twarzy, podobnie jak powietrze arktyczne. Bo tych rejonów globu kompozycje są ilustracją – ginących w dali śnieżnych pustkowi arktycznych, wymierających raf koralowych ścielących dna oceanów, wykarczowanych lasów deszczowych

w Indonezji. Melancholię towarzyszącą słuchaczowi ożywiają lekkie jak mgiełka morskiej bryzy pasaże gitarowe, gdzieś tam przechodzące w narastający szum. Reznor wraz z Rossem zadbał o syntezatorowe efekty, przestery, drobniotki, skrzące się glitchowe dźwięki, czy chropowate, siarczyste, wręcz dronowe nawałnice, sporadycznie jednak zakłócające stonowany klimat albumu. Dźwięki generowane przez współpracowników nieomal wznoszą się spoza horyzontu, by ulotnić się ponad widnokrąg.



**Ludzkość zmuszona zmierzyć się z konsekwencjami swych lekkomyślnych decyzji i zgubnych działań.**



Cieplą tonację zachowują wszędobylskie akordy fortepianowe Reznora, w „A Minute to Breathe”, jedynej kompozycji okraszzonej wokalem, przywodzące na myśl atmosferę albumu NIN „The Fragile”. Bywają senne, zamyślane, by jak w „8 Billion” wybrzmieć z głębi nocnego nieboskłonu. Santaolalla zapewnił swój wkład dyskretnym brzmieniem banjo w utworze „Before the Flood” czy czarując arpeggio przy akompaniamencie smyczków w „Thin Ice”. Kompozycje Mogwai urzekają czułą, znajomą, post-rockową tklivością, której nie brak w utworach serwowanych od lat. Wcale im niedaleko do dźwięków zawartych na albumie „Les Revenants”, notabene także ścieżki dźwiękowej.

Ambientowa rozległość, oniryczna zaduma nieodłącznie włączone w tonację albumu oraz rozbityski nadziei, niesione w ostatniej kompozycji „After the Flood”, każą rozwiązać obawy co do rychłego upadku ludzkości. ■

## GLOBAL PLUS

Biurowo Rachunkowo-Audytorskie

§

• KSIĘGOWOŚĆ •

• DORADZTWO PRAWNO-GOSPODARCZE •

• DOFINANSOWANIA •

ul. Warszawska 10, lok. 9  
25-306 Kielce  
tel. 531 451 655  
<http://globalplus.com.pl>

Piotr Kletowski

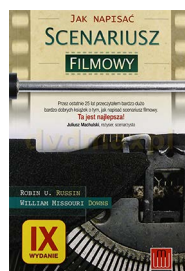
# Wszystko, co najważniejsze – w scenariuszu

**Wydawnictwo „Marzec” – najlepsza polska oficyna specjalizująca się w publikowaniu książek o tematyce praktyczno-filmowej – wznowiło właśnie dwie pozycje, które bez dwóch zdań są niezbędne każdemu, kto zajmuje się – w mniej lub bardziej profesjonalny sposób – tworzeniem scenariuszy filmowych (ale nie tylko).**

Książka „**JAK NAPISAĆ SCENARIUSZ FILMOWY**” Russina i Downsa to być może najlepszy podręcznik opisujący – krok po kroku – w jaki sposób go stworzyć. Można powiedzieć, że po przeczytaniu tego znakomitego dzieła (rzecz jasna ze zrozumieniem) i po przyswojeniu sobie zawartych w nim porad, **NIE MOŻNA NIE NAPISAĆ** wiarygodnego scenariusza. Bo jeśli nawet nie powstanie tekst na miarę analizowanych tu scenariuszy do „Bez przebaczenia” Davida Webba Peoples’a, czy „Pola marzeń” Robinsona, to i tak efekt pracy będzie co najmniej przyzwoity. Książka, jak to się ma zwykle z publikacjami podręcznikowymi przeznaczonymi na rynek anglosaski (tutaj pochwalić trzeba znakomite tłumaczenie autorstwa Ewy Spirydowicz) ma przejrzystą strukturę i prezentuje cały proces pisania scenariusza: od pomysłu rodzącego się w głowie scenarzysty, przez pisarski proces nadawania mu właściwego kształtu, etap poprawiania i dostosowywania do wymogów realizacji filmowej, aż po strategię sprzedaży i promocji gotowego już tekstu.

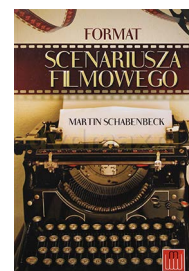
Co jest jednak największą zaletą publikacji, to to, że nie tylko skupia się na sprawach czysto technicznych, ale umiejscawia robotę scenopisarską w szerokim kontekście sztuki pisarskiej (związanej z tworzeniem powieści), ale też dramatopisarskiej (związanej z tworzeniem tekstów na potrzeby teatru), pokazując jak ważne są literackie właśnie fundamenty tworzenia tekstów z myślą o sztuce filmowej. Analiza np. motywów działania Medei – bohaterki mitów i antycznych dramatów – w kontekście współczesnych opowieści filmowych, których bohaterkami są kobiety poddane ostatecznej próbie – jest tego błyskotliwym dowodem. To fachowe podejście do tworzenia scenariuszy filmowych – tak charakterystyczne dla hollywoodzkiego systemu produkcyjnego – ma może jeden, niewielki mankament – że nie zostawia jednak marginesu na nieco bardziej, że się tak wyrażę, poetyckie, swobodne podejście do scenopisarstwa, nie zostawiając nic a nic w procesie tworzenia tekstu filmowego dziełu przypadku (jakby zakładając, że dopiero w procesie realizacji filmu pojawia się ten, artystyczny naddatek).

Z drugiej jednak strony autorzy wychodzą – całkiem słusznie – z założenia, że aby pisać poezję, najpierw trzeba doskonale pisać prozę. Ktoś kto napisze



Robin U. Russin,  
William Missouri Downs  
**Jak napisać scenariusz filmowy**  
403 s. ; 24 cm  
Warszawa : Wydawnictwo Wojciech Marzec, 2016  
81'38.82.0:791.43.01:001.81

Martin Schabenbeck  
**Format scenariusza filmowego**  
280 s. ; 24 cm  
Warszawa : Wydawnictwo  
Wojciech Marzec, 2016  
82.0-2:791.62/63



powieść, może bowiem – choćby od biedy – napisać wiersz. Aby tworzyć „w drugą stronę” trzeba być po prostu geniuszem. A nie trzeba być geniuszem, by tworzyć scenariusze – zdają się mówić autorzy publikacji – wystarczy mieć coś ważnego do powiedzenia. Bo jakby clue całego wywodu autorów publikacji „Jak napisać scenariusz filmowy” – reprezentujących starą szkołę scenopisarstwa sygnowaną nazwiskiem Lwa Huntera (ale przefiltrowaną przez nieco nowsze, odchodzące od inspiracji strukturalnych na korzyść źródeł kognitywnych podejścia) – jest teza, że „z próżnego i Salomon nie należy” – aby więc pisać scenariusze nie wystarczy tylko oglądać setki filmów, przede wszystkim trzeba świadomie przeżywać własne życie i obserwować otaczającą człowieka rzeczywistość. Tylko **PRZEŻYTE** uczucia mogą stanowić właściwą „pożywkę” dla tworzonego przez nas scenariusza. Nie oznacza to od razu strategii polegającej na pisaniu filmu o wojnie, tylko w momencie, kiedy się z tej wojny wróciło. Ale przecież sytuacje konfliktowe przeżywa w swym życiu każdy z nas, a różnią się one zwykle od sytuacji frontowych niekiedy jedynie skalą. Podobnie zresztą rzecz się ma z pisaniem historii miłosnych...

Wspaniałym uzupełnieniem książki „Jak napisać scenariusz filmowy”, również wznowionym przez Marca jest publikacja „**Format scenariusza filmowego**” Martina Schabenbecka (z polską konsultacją Cezarego Harasimowicza), która doprecyzowuje obserwacje dotyczące formalnego rygoru tworzenia właściwego tekstu scenariuszowego, pozwalające w jak najwłaściwszy sposób oddać słowo w procesie tworzenia i pisania scenariusza mającego być podstawą przyszłego dzieła filmowego. ■



FILM



# Piotr Kletowski Albo świat, albo Bóg

**W kinach możemy oglądać właśnie najnowszy film Martina Scorsese „Milczenie”. Jest to adaptacja powieści Shūsaku Endō z 1966 r., opowiadającej o prześladowaniach chrześcijan w Japonii czasu Tokugawów.**

**BOHATERAMI DZIEŁA ENDŌ** – pisarza katolickiego, swoimi książkami podejmującego temat egzystencji mniejszości chrześcijańskiej (przede wszystkim katolickiej) wśród japońskiego (głównie buddyjskiego) społeczeństwa) – jest dwóch jezuickich misjonarzy (w filmie grają ich Andrew Garfield i Adam Driver), którzy przedostają się w tajemnicy do Japonii, by odnaleźć swego duchowego przewodnika ojca Ferreirę (Liam Neeson). W czasie swej podróży bohaterowie niosą naukę Chrystusa spragnionym wiary ludziom, ale są również świadkami okrutnych tortur i egzekucji, jakim z rąk samurajów doświadczały chrześcijanie. Wreszcie sami zostają schwytani i doświadczały losu swych wiernych. Jeden z nich odnajduje też ojca Ferreirę, który okazuje

się apostatą, poddającym swego dawnego ucznia ostatecznej próbie.

Sięgając po powieść Endō Scorsese wraca do swych religijnych obsesji, które cechują całą jego twórczość. Już debiutancki film tego reżysera „Ktoś tam puka do moich drzwi” (1967), z Harveyem Keitlem w roli głównej, ukazywał dylemat głównego bohatera – katolika, którego religijność zostaje zderzona z brutalnością i amoralnością świata, wystawiając wiarę bohatera na próbę (musi on zaakceptować dziewczynę, która wcześniej współżyła seksualnie z innymi mężczyznami). Ten temat nieprzystawalności chrześcijańskich idei (zwłaszcza w wydaniu katolickim, kładącym nacisk na grzeszność ludzkiego życia, dla którego alter-



**Czy chrześcijaństwo przystawalne jest do świata tak obcego jak shintoistyczno-buddyjska, feudalna Japonia?**



natywą może być jedynie boże miłosierdzie) do świata kierującego się zupełnie innymi wartościami, jest motywem przewodnim całej twórczości Scorsese. Reżysera, który sam chciał zostać księdzem, ale wystąpił z seminarium, kiedy doszedł do wniosku, że jego powołaniem nie jest stan duchowny – czyli Kościół jako taki – lecz „kościół kina”, w którym postanowił odnaleźć odpowiedzi na nurtujące go zagadnienia natury moralnej.

Właściwie wszystkie filmy Scorsese pokazują konfrontację idei z brutalną rzeczywistością, zaś jądrem jego całej twórczości jest adaptacja apokryficznej powieści Nikosa Kazantzakisa „Ostatnie kuszenie Chrystusa” (1988), zaczynającą się wprost od przytoczonej myśli greckiego pisarza na temat konfliktu ducha z ciałem – myśli wyrażającej również podstawowy, etyczny problem filmowych dokonań Scorsesego. Reżyser – mimo, że sam uważający się za człowieka, którego związki z Kościołem Katolickim oparte są jedynie na moralnych resentymentach (pięciokrotnie żonaty, z bogatą narkotykową przeszłością) – wciąż pozostaje człowiekiem głęboko religijnym, dla którego duchowość (także ta niechrześcijańska, zrealizował przecież filmową wersję życia Dalajlamy „Kundun” w 1997 r.) pozostaje czymś ważnym, a nawet najważniejszym. Dlatego z duchowo-cielesnych zapasów, zawsze wiodących przez skrajne doświadczenie cielesności (stąd w filmach Scorsese tak wiele dojmujących obrazów przemocy), zwycięsko wychodzi duch, choć jego zwycięstwo często jest pyrrusowe, bo wiążące się z fizyczną degradacją bohatera, całkowitym przekroczeniem bądź odrzuceniem cielesności, słowem całkowitym wyparciem się świata.

Z dylematu, jaki na kartach swych powieści zostawił, bliski Scorsesemu, Dostojewski (którego „Wspomnienia z domu umarłych”, ale też „Idiota” stały się inspiracją do realizacji słynnego „Taksówkarza”, 1976) albo świat, albo Bóg – większość bohaterów filmów Scorsese wybiera Boga. Zwłaszcza bohaterowie „Transcendentnej Trylogii” (która powstała podług scenariusza innego filmowca, który rzucił stan duchowny dla kina – Paula Schradera): Travis Bickle z „Taksówkarza”, Jack La Motta z „Wściekłego byka”, 1980, czy Chrystus z „Ostatniego kuszenia...”. Ale koszty owego odrzucenia są wysokie – to samotność, fizyczna destrukcja, czy nawet śmierć – wiodące do duchowego przebudzenia, do zmartwychwstania, ale kosztem fizycznej autodestrukcji. Zresztą również do autodestrukcji wiedzie droga „wyboru świata” bohaterów „grzesznych filmów” Scorsese – zwłaszcza tych gangsterskich, ukazujących życie ludzi mających na bakier z prawem – przede wszystkim najwybitniejszego reżysersko filmu Scorsese „Chłopców z ferajny” (1990) czy ostatniego hitu tego reżysera brawurowego „Wilka z Wall Street” (2013). Przy tym jednak „duchowe przebudzenie” grzeszników nie wiąże się z ich odkupieniem, lecz raczej z pozostawieniem w stanie zawieszenia (w owym „limbo” – stanie pomiędzy piekłem, a niebem, jak chcieliby ojcowie

Kościota). A więc jakby nie patrzeć, ludzkie życie w chrześcijańskiej, katolickiej optyce Martina Scorsese jest czymś do głębi tragicznym, lecz ten tragizm właśnie jest wspaniałym, niewyczerpanym tematem dla sztuki, zwłaszcza sztuki filmowej, którą z powodzeniem od lat uprawia reżyser „Gangów Nowego Yorku” (2002).

Kino jest dla Scorsese rodzajem, żeby zostać przy terminologii biblijnej, „Góry Przemienienia” – gdzie nawet to, co złe przybiera wartość pozytywną (w wymiarze estetycznym) – by w ostatecznym wymiarze prowadzić człowieka do prawdy, do światła (bez którego zresztą kino, w swej fizyczności nie istnieje). Dlatego „Milczenie” – ostatni film Scorsese – bardzo wyraźnie wpisuje się i wypytywa ze wszystkich ideowych, tematycznych, artystycznych obsesji italoamerykańskiego reżysera. Dotyka zresztą bardzo ciekawej kwestii, ponieważ życie chrześcijan w Japonii to temat tyleż dramatyczny, co frapujący, stawiający kwestię wiary, a więc wyboru „świata” lub „Boga” na ostrzu noża.



Fot. Materiały prasowe Gutek Film





Dość powiedzieć, że od czasu zaprowadzenia chrześcijaństwa przez św. Franciszka Ksawerego w XVI w. do Japonii, losy wyznawców Chrystusa obfitowały w wydarzenia nie mające sobie równych w innych częściach świata. Na przykład, mało kto o tym wie, że w czasach Sengoku (wojen panów feudalnych) Japonia bliska była całkowitego schryścianizowania (potężny *daymyō* Oda Nobunaga przyjął chrzest i jako kardynał Kościoła Katolickiego był bliski zjednoczenia Japonii, został jednak zabity w zamachu, a jego sukcesorzy – Tokugawowie, rządzący w Japonii przeszło 300 lat – zajądli tępiłi chrześcijaństwo). Niechęć władzy centralnej do chrześcijaństwa wynikała przede wszystkim z zupełnie innej wizji człowieka, świata i Boga, jaką nieśli jezuici misjonarze.

Pierwotna religia Japończyków – animistyczny shintoizm – panteistycznie zrównujący Boga i naturę, a co za tym idzie, postrzegający jednostkę jedynie jako element większej, kosmicznej, naturalnej, społecznej całości – a także wchodzący z shintoizmem w relacje synkretyczne buddyzm (upraszczając sprawę, każący patrzeć na człowieka jako na centrum kosmo-



su), stały w wyraźnej opozycji wobec chrześcijaństwa ujmującego Boga w kategoriach osobowych, a co za tym idzie postrzegającego człowieka wierzącego jako istotę zmierzającą do duchowej jedności z Absolutem (nie – jak to mam miejsce w buddyzmie – poprzez odrzucenie cierpienia, ale właśnie poprzez nie). Stąd męczeństwo, jakiego doświadczali japońscy chrześcijanie z rąk swoich prześladowców, przyjmowane było przez nich jako coś upragnionego, pojmując je – co świetnie ukazał w swym filmie Scorsese – jako szybką i pewną drogę do osiągnięcia Raju, zjednoczenia się

z Bogiem. A ponieważ większość przyjmujących wiarę chłopów traktowana była przez samurajską kastę jak zwierzęta [co ciekawe jednak, i wśród samurajów zdarzali się konwertyci na chrześcijaństwo, w obronie wiary wzniecający nawet bunt przeciwko szogunatowi, jak ten w 1637 r. w Shimabarze – traktuje o tym film Nagisy Ōshimy „Powstaniec” (1962)], śmierć prowadząca do Boga była dla nich wyzwoleniem.

Jądrym filmu Scorsese, podobnie jak i powieści Endō jest więc pytanie: czy chrześcijaństwo jest przystawalne do świata tak obcego (a jednak również twórnego przez ludzi, lecz o odmiennym sposobie myślenia) jak shintoistyczno-buddyjska, feudalna Japonia. Odpowiedź Scorsese jest bardzo ciekawa, inna niż u Endō i inna niż u Shinody – gdzie obaj twórcy odpowiadali negatywnie na to pytanie, uważając jednak, że właśnie wyznawanie chrześcijaństwa, w tak odmiennym środowisku jest prawdziwym heroizmem, być może w przyszłości prowadzącym do „przepracowania” obowiązujących religijnych systemów. Scorsese – w symbolicznym zakończeniu filmu – pokazuje coś innego, wskazuje na fakt przetrwania chrześcijaństwa w łonie japońskiej kultury, która mimo swej kolektywnej, panteistycznej wizji „absolutu”, człowieka i świata, dąży – podobnie jak chrześcijaństwo, lecz być może w sposób nieuświadomiony – do stworzenia skrajnie indywidualistycznego modelu ludzkiej osobowości (przejawiającego się choćby w japońskiej dążności do doskonałości, również na polu estetyki).

Tworząc swój wieloznaczny, gęsty, „jezuicki” film, będący popisem jego reżyserskiego mistrzostwa (film mimo trzech godzin projekcji trzyma widza w permanentnym napięciu) i kinofilii (Scorsese podrabia tu styl kina artystycznego lat 60. w długich, statycznych ujęciach, aktorskiej rafinadzie, a przede wszystkim odwołując się do mistrzów japońskiego kina klasycznego i nowofalowego, zwłaszcza Mizoguchiego, Kobayashiego i Ōshimy) twórca „Taksówkarza” raz jeszcze podejmuje temat walki ciała z duszą, Boga ze Światem, mówiąc o tym, że człowiek wierzący – nawet, gdy o wierze zapomina – wciąż, w jakimś sensie, pozostaje wierny Chrystusowi. Że jeśli Bóg wybrał człowieka, to ten, nawet wybierając świat, jest wciąż w głębi serca wierny Bogu. Mówiąc więc o jezuickich misjonarzach próbujących utrzymać swą wiarę w Japonii czasów samurajskich, Scorsese, tak na prawdę, mówi o sobie – filmowym twórcy, który choć dawno temu wybrał „kościół kina”, wciąż – w głębi swego serca – postrzega rzeczywistość po katolicku. ■

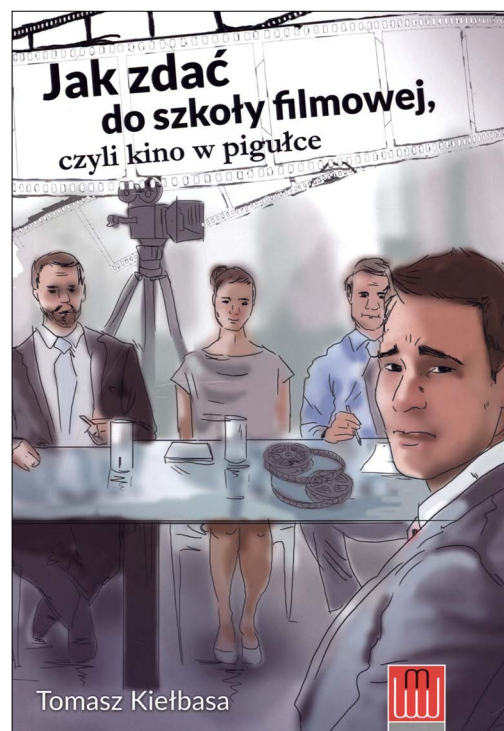
# Bryk

Piotr Kletowski

Książka Tomasza Kietbasę „Jak zdać do szkoły filmowej”, wydana przez wielce zasłużoną oficynę Marzec to na swój sposób ciekawa i przydatna publikacja, zwłaszcza z racji żywego zainteresowania młodych ludzi, chcących rozpocząć swą filmową przygodę od profesjonalnej edukacji.

Tomasz Kietbasa  
*Jak zdać do szkoły filmowej,  
czyli kino w pigułce*  
145 s.; 24 cm  
Warszawa: Wydawnictwo  
Wojciech Marzec, 2016  
791(07)

rozmowa kwalifikacyjna  
czyli money talks



**AUTOR SKUPIA SIĘ PRZED** wszystkim na prezentacji materiału filmoznawczego potrzebnego do przebrnięcia przez tzw. „rozmowę kwalifikacyjną”, obowiązującą przede wszystkim w państwowych placówkach edukacji filmowej (tódzka „Filmówka”, Szkoła Filmowa w Katowicach) oraz Szkole Wajdy (w innych tego typu obowiązuje raczej zasada „money talks”, rozmowy kwalifikacyjne są rzadko wdrażane w procesie egzaminacyjnym). Gros materiału prezentowanego przez autora dotyczy przede wszystkim prezentacji historii i współczesności światowego i polskiego kina, z akcentem położonym na najważniejsze zjawiska i sylwetki twórców X Muzy.

Muszę przyznać, że czytając tę, z konieczności lapidarną prezentację nieraz wyrzywałem włosy z głowy nad ogólnością prezentowanych zagadnień, jak i nad kilkoma rażącymi błędami merytorycznymi pojawiającymi się w tekście (zwłaszcza dotyczącym historii kina powszechnego np. przyczyną wycofania się Meliesa z produkcji filmów nie był, jak sugeruje to autor, brak zainteresowania feeriami filmowymi realizowanymi

przez autora „Podróży na Księżyc”, co przede wszystkim fakt, że nie przystał on do tzw. „Trustu Filmowego”, zrzeszającego producentów i dystrybutorów filmów we Francji, zorganizowanego pod egidą studia Pathe, w czasie tzw. „Kongresu Oszukanych”).

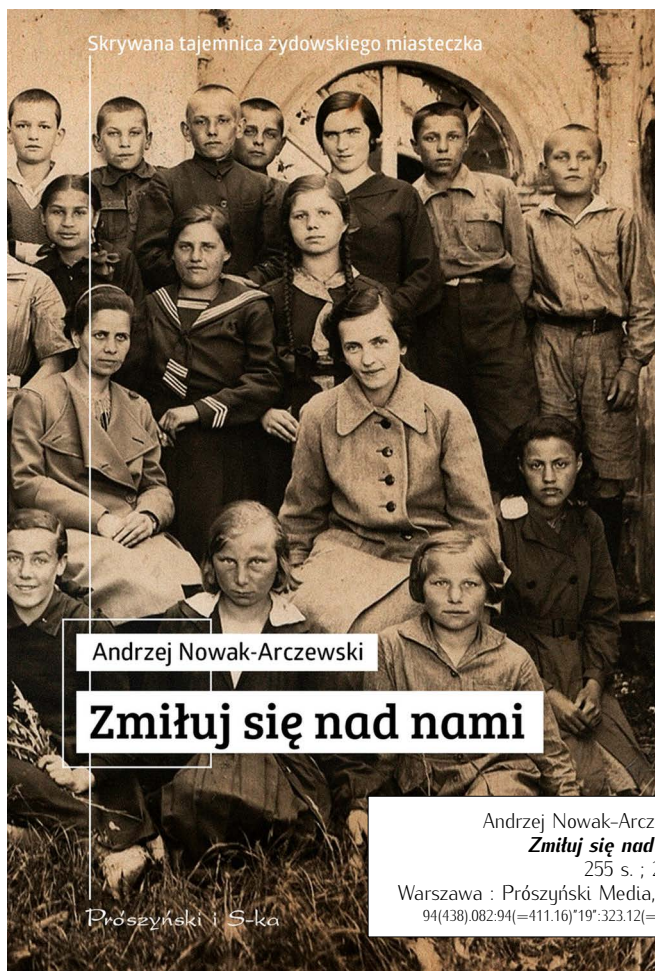
Druga sprawa to dobór omawianych zjawisk. Dlaczego w panoramie autorów kina polskiego zabrakło tak znakomitych reżyserów jak Grzegorz Królikiewicz, Andrzej Żuławski, czy Piotr Szulkin? O „katalogu twórców kina światowego” nie wspominając. Na szczęście w przypadku dorobku filmowców występujących w opracowaniu nie doszukałem się uchybień, a nawet niektóre analizy twórczości mistrzów kina (Kubrick) są na swój sposób bardzo udane (mimo skrótowości), co wraz z innymi częściami publikacji (np. świetnym mini-słowniczkiem terminów filmowych) sprawia, że mimo błędów książka Tomasza Kietbasę może być bardzo przydatna przyszłym adeptom szkół filmowych, choć w kolejnych wydaniach publikacji przydałoby się uzupełnić / poprawić co bardziej rażące uchybienia. ■



Fundacja Centaurus działa od ponad 10 lat na rzecz polskich koni i innych zwierząt. W Szczedrzykowiach, pod Legnicą, stworzyliśmy największy azyl dla koni na starym kontynencie - opiekujemy się prawie 400 kopytnymi na blisko tysiąc uratowanych przez Centaurusa koni. Prowadzimy również schronisko dla psów oraz kotów, a także dom tymczasowy dla najstarszych, schrowanych Mruczków i Burków. Wszystko, co robimy, finansujemy wyłącznie z Darowizn od darczyńców prywatnych i firm.

Poznaj naszych podopiecznych, wejdź na [www.centaurus.org.pl](http://www.centaurus.org.pl). Adoptuj! Na dobre domy czekają psy, koty i konie. Jeśli nie możesz dać dachu nad głową, wesprzyj finansowo bezdomne zwierzęta.





**ŚWIĘTOKRZYSKA WIEŚ KLIMONTÓW** ukazana na kartach książki Nowaka-Arczewskiego zdaje się na wstępie niczym nie wyróżniać z pejzażu innych tego typu miejscowości na mapie współczesnej Polski. Żyją w niej jednak ludzie, którzy jeszcze do niedawna odgradzali się od obcych szczelnym murem tajemnicy, związanej z zagładą ludności żydowskiej podczas II wojny światowej. Klimontów liczył sobie bowiem w 1939 roku około 4500 mieszkańców, by niespełna sześć lat później zmniejszyć swoją liczebność do mniej więcej 2200 osób. Populacja tej wsi skurczyła się więc wówczas aż o ponad połowę.

Choć książkę Nowaka-Arczewskiego trudno raczej traktować jako jednoznaczną próbę szukania winnych żydowskich pogromów i grabieży wśród polskich obywateli Klimontowa, przywraca ona jednak miejscowym ofiarom Szoah należną im pamięć oraz cześć, nawet jeżeli dla niektórych z naszych rodaków wspomnienia z owych dramatycznych dni mogą wydawać się do dziś bardzo bolesne oraz problematyczne:

*W Klimontowie ciągle mówią o dawnych sąsiadach, ale jakby wstydliwie, na ucho, w zaufaniu. Może trochę bardziej otwierają się podczas jarmarku. Widocznie sprzyja nastrój.*

# Skrywane dzieje Klimontowa

Michał Siedlecki

Na rynku księgarskim ukazała się właśnie książka „Zmiłuj się nad nami” autorstwa Andrzeja Nowaka-Arczewskiego – dziennikarza, reportera oraz laureata Ogólnopolskiego Konkursu im. Zbigniewa Nosala (2010). To bardzo ważna dla rodzimej literatury faktu reporterska opowieść pisarza o międzywojennym Klimontowie – żydowskim miasteczku i jego ciemnych kartach w XX-wiecznej historii.

– Dlaczego przeszłość nadal jest skrywana? – zagaduję Mirosława Szelągę, który prowadzi w swoim domu niewielką izbę pamięci o dawnych mieszkańcach. – Czy naprawdę tak trudno mówić otwarcie? Wydusić wszystko, co siedzi w środku? Oczyszczyć się?

– Boję się za dużo mówić – odpowiada. – Tutaj mieszkam. Czy warto do tego wracać?

(...) Historia Klimontowa to opowieść o tych, którzy od nas odeszli na zawsze.

(...) A potomkowie Żydów, chociaż minęło już tyle lat od zakończenia wojny, ciągle przyjeżdżają do Klimontowa i pytają o domy, działki swoich ojców, dziadków. Ludzie bardzo się denerwują i od razu ciśnienie im się podnosi, gdy widzą kogoś nieznanego w pobliżu swojej posesji. W każdym obcym widzą człowieka, który chce im zabrać mieszkanie.

Skrywane dzieje Klimontowa zawarte w fabule „Zmiłuj się nad nami” to w takim razie smutna opowieść eksplorująca najtajniejsze, bo ukryte w poczuciu olbrzymiego wstydu i wyrzutów sumienia, zakamarki sumień Polaków, którzy biernie, bądź nawet

## Czy warto do tego wracać?

czynnie uczestniczyli w wydarzeniach wpisujących się w nazistowską eksterminację Żydów w trakcie II wojny światowej oraz w późniejszym, równie nagannym procederze, zgrabiania ich mienia. Bez lektury książki Nowaka-Arczewskiego nie da się więc w pełni pojąć nie tylko meandrów naszej złożonej i trudnej przeszłości, ale i jałowych sporów dnia codziennego. ■

# Czerniakowski bard

Małgorzata Angielska

**Przewrotne życie Stanisława Grzesiuka zaowocowało niezwykłą biografią. Prosty chłopak z Czerniakowa, zdecydowanie bardziej leniwy niż inni jego ziomkowie, ale za to mocno zdeterminowany, gdy dążył do wyznaczonego celu, przeżył biedę, upokorzenia obozowe, chorobę swoją i syna, wreszcie – upragnioną sławę. Kochał ludzi i być w centrum zainteresowania. Sprytny i niezwykle ciepły pragnął żyć tak, jak marzył – szalenie, nie przejmując się niczym – tak go wspominają przyjaciele w książce Bartosza Janiszewskiego „Grzesiuk. Król życia”.**

W DOKUMENTACH WPISYWAŁ ZAWÓD „elektromechanik”, mimo że z trudem ukończył pierwszy semestr. W PRL-u był dyrektorem placówek zdrowotnych, w których skupiał się na podrywaniu lezarek i pielęgniarek, załatwianiu „swoich spraw” – z przyjaciółmi chodził na wódkę, bawił się, korzystał z życia. Umiął opowiadać ze

## Nigdy nie pił na smutno.

swadą, w jego otoczeniu zawsze znajdowało się grono przyjaciół. Zdobyta pozycja społeczna przez prawie całe życie nie przekładała się na profity finansowe. Mimo to starał się zapewnić żonie Czesi oraz dzieciom Ewie i Markowi godne życie. Nie był wzorowym ojcem i mężem – pociechy nawet przez kilka tygodni nie widziały go, zdradzał ukochaną w dyskretny sposób, jednak zawsze do niej wracał. Za pierwsze gaże z powieści kupił Czesławie piękny płaszcz, pociechom zegarki i rowery. Nigdy się nie wywyższał, zwłaszcza u kresu swych dni, gdy osiągnął maksimum popularności – wydał dwie książki przed śmiercią, trzecia ukazała się rok po jego odejściu. Były to pozycje rozchwytywane, sprzedawały się w dwa miesiące po premierze. Wbrew swoim oczekiwaniom Grzesiuk znalazł się w Związku Literatów Polskich. Gdy pojawił się na pierwszym zebraniu, został poproszony przez przewodniczącego o sporządzenie protokołu – grzecznie odmówił, bo wstydził się swoich braków znajomości ortografii i interpunkcji.

Jednak największą popularność zdobył dzięki swojemu charakterystycznemu głosowi i bandzoli zrobionej z taboretu, na której grał koncerty w najbardziej prestiżowych miejscach w Polsce na przelocie lat 50. i 60. Śpiewał złodziejskie piosenki, mimo że nie miał wielkiego talentu wokalnego – często fałszował, zmieniał tempo, nie potrafił zgrać się z orkiestrą – a ludzie go kochali i pasjami słuchali. Znajomi często przynosili mu teksty szemranych ballad, a on wykonywał je ze znaną prostotą i radością. Uwielbiał występować, mieć publiczność, nawet w sytuacjach prozaicznych – w kuchni,

dla żony i dzieci, często grał w knajpach dla najbliższych przyjaciół. Występował u boku największych gwiazd polskiej estrady, m.in. Ireny Santor czy Sławy Przybylskiej, przyjaźnił się z ludźmi o różnym statusie społecznym – pozostał wierny towarzyszom z Czerniakowa (dzisiaj dzielnica Sielce), z profesorami, nawet z księdzem. Do końca życia pozostał ateistą.

Wreszcie – nigdy nie pił na smutno, tylko z radości życia. Wszędzie było

Bartosz Janiszewski  
**Grzesiuk. Król życia**

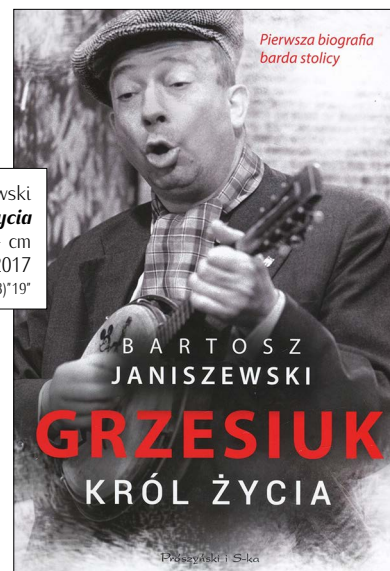
441 s. ; 24 cm

Warszawa : Prószyński Media, 2017  
821.162.1(091)\*19\*:78.071.2(438):929-052(438)\*19\*

go pełno. W trakcie lektury miałam wrażenie, że jestem z nim w Otwocku w sanatorium, w obozach koncentracyjnych, w urzędach, kawiarniach i wielu innych miejscach. Autor idealnie oddał temperament Grzesiuka,

ta fantastyczna biografia czyta się sama, jest niezwykle wciągająca. Zamieszczone w niej fotografie często pokazują barda, ale również przed- i powojenną Warszawę.

Zdecydowanie polecam przeczytać. Walorem książki są zamieszczone krótkie opowiadania literata – który nigdy nie używał wobec siebie tego określenia. Został nim przez zupełny przypadek – kiedy musiał spędzić długie godziny w łóżku po wycięciu żeber, znajoma zaproponowała mu, by spróbował pisać tak, jak mówił – potoczyście, ze swadą, w pierwszej osobie. „Pięć lat kacetu”, „Boso, ale w ostrogach” i „Na marginesie życia” to zapisy pamiętnikarskie życia chłopaka „z nizin”, na tyle przejmujące, że kolejne wydania były wznawiane jeszcze przez wiele lat. Kilka milionów Polaków mogło przeczytać nie o bohaterstwie, męczeństwie i hiperbolizowanym cierpieniu, a o sposobie na przeżycie zarówno na Czerniakowie, jak i w obozach, a także z gruźlicą, która przedwcześnie zabrała tego artystę. ■





Karolina Bugajska

Zahaczyć  
o 10-tkę

Karolina Bugajska  
**Zahaczyć o 10-tkę**  
78 s. ; 21 cm  
Kielce: Civitas Christiana, 2016  
821.162.1-1

Prawda nas wyśmiewa

# Mozaikowa dziesiątka

Przygoda z poezją Karoliny Bugajskiej trwa już dekadę i zaowocowała twórczym udziałem w trzech almanachach grupy literacko-artystycznej „Słowniaci Świętokrzyscy”. Tym razem młoda poetka prezentuje się jako samodzielna autorka tomiku pt. „Zahaczyć o 10-tkę”. Niewątpliwym atutem tej publikacji jest różnorodność ukazywanych w wierszach problemów.

Katarzyna  
Szychowska

JEDNYM Z NICH SĄ CIEMNE strony relacji między-ludzkich, takich jak miłość czy przyjaźń. Stanowią one dla poetki *nietypową grę o przetrwanie*, a nie idyllę, wolną od komplikacji. Powtarza się tu motyw pełnej napięcia ciszy między dwojgiem ludzi, która buduje swoistą dramaturgię. Rezygnacja ze słów nie pomaga nawiązać porozumienia. Siła skrywanych, gwałtownych emocji okazuje się tak wielka, że miłość „dogorywa” niczym owoce rozniciatane w dłoni („Porzeczkowe”), a więź łącząca przyjaciół zostaje zerwana przez zdradę („Wyrachowanie”).

W poetyckich rozważaniach Karolina Bugajska snuje również refleksje o współczesnym świecie pełnym niepokoju i rozlewu krwi („Piątek trzynastego”), zdominowanym przez Internet i nastawionym na powiększenie *licznika polubień*, kosztem kreatywności, która nie ma nic wspólnego z *gotowizną* serwowaną przez sieć („Teoria «Lubię to»”).

Spostrzeżenia te skłaniają autorkę do zastanowienia się nad moralną i umysłową kondycją człowieka, *skażonego egoizmem* („Zakorzenie”). Pomimo słabości, rości on sobie prawo do panowania nad otoczeniem („Polowanie”), by w końcu zderzyć się z brutalną prawdą, która *tuż za plecami się rozgrzewa, by sprzedać celnego kopniaka* („Prawda nas wyśmiewa”).

Istotnym wątkiem pojawiającym się w tomiku jest

tworzenie prywatnej poetyckiej mapy, przedstawiającej miejsca odwiedzone przez autorkę. Poetka daje wyraz fascynacji Wilnem i Moskwą. Zachwyca się kolorytem lokalnym, wplatając w materię wiersza zwroty w języku litewskim („Zagubiona w Wilnie”).

Z kolei zauroczenie rosyjską metropolią zaowocowało najciekawszym, w moim odczuciu, utworem – „Moskwa. Mauzoleum Lenina”. Trafnie odzwierciedla on specyficzną atmosferę, jaka panuje w tym nietypowym przybytku. Miejsce, gdzie spoczywa zabalsamowane ciało komunistycznego przywódcy, intryguje swoją niejednoznacznością. Przybywający tu *goście* – turyści oraz rodowici Rosjanie – mają odmienny stosunek do mauzoleum. Ci pierwsi *nie rozumieją i niedowierzają*, natomiast *miejscowi* – przeciwnie – *doskonale wiedzą*, a nawet... *czekają! Na dawno zabranym im raj*.

W wierszach Karoliny Bugajskiej bogactwo tematyczne idzie w parze ze zróżnicowanym nastrojem. Obok tekstów utrzymanych w tonacji poważnej pojawiają się pogodne wiersze, których wspólnym motywem jest... kubek gorącej herbaty. *Każdy tyk wiedzie drogą ukojenia/ a (...) rozkotysane nerwy zatrzymują się (...)* – wyznaje „ja” liryczne w utworze „Green tea”. Chwila wyciszenia podczas delektowania się aromatycznym napojem nie tylko pozwala na *rozgrzanie myśli*, lecz także pomaga zebrać siły do działania.

Dziesięć lat kształtowania warsztatu literackiego pozwoliły autorce tomiku „Zahaczyć o 10-tkę” stworzyć wielowymiarową mozaikę przeżyć, obserwacji, miejsc i refleksji. W słowie wstępnym młoda poetka wyraża nadzieję, że każdy czytelnik odkryje w owej mozaice coś dla siebie. Po uważnej lekturze można wysnuć wniosek, że to pragnienie Karoliny Bugajskiej ma duże szanse na spełnienie. ■

# Powrót do podwórkowych gier i zabaw?

Dominik Borowski

Jest XXI wiek. Aktywność dziecka znacznie się poszerzyła.

Coraz młodszy uczy się już języków obcych. Starsi mają mnóstwo zajęć dodatkowych, które rozwijają ich zainteresowania, od treningów sportowych po kursy specjalistyczne (np. fotograficzne). Zmiany nie ominęły również rozrywek w czasie wolnym. Dzisiaj dzieci pasjonują się grami, ale przede wszystkim komputerowymi albo „planszówkami”. A co robili ich rówieśnicy zanim elektronika stała się tak powszechna?

## Jeszcze raz zagrać w zośkę...

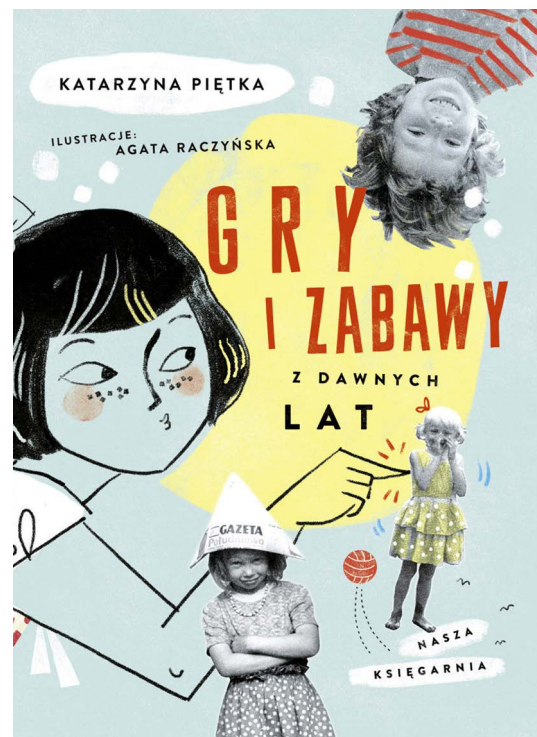
NA POSTAWIONE PYTANIA odpowiada Katarzyna Piętka w swojej książce zatytułowanej „Gry i zabawy z dawnych lat”. Określenie w tytule wcale nie odnosi się do jakichś zamierzonych czasów. Autorka w swoim leksykonie przedstawia gry i zabawy, które cieszyły się popularnością w okresie jej dzieciństwa, które przypadły na lata 70. XX wieku. Dla niektórych dorosłych i ich dzieci mogą one być jedynie pamiątkami z przeszłości. Inni zaś starają się zachęcać najmłodszych do udziału w dawnych zabawach. Książka Piętki może się przydać i jednemu, i drugiemu.

Publikacja została podzielona na kilka rozdziałów, np. „Róbcie to, co ja”; „Zabawy z pitką” czy „Trzepak, klasa, skakanka, czyli podwórkowa klasyka”. Każdy z nich proponuje inną kategorię gier i zabaw. Dominują tutaj jednak te, które organizowano przed domem. W każdym rozdziale znalazły się opisy przebiegu różnych rozrywek, z których korzystały kiedyś dzieci. Nie ma tutaj potrzeby ich dokładnego omawiania, bo dla większości, szczególnie dorosłych, są one znane. A jeśli nie, to może ich nazwy, niekiedy dość dziwne, zmotywują do ich poznania i przekazania wiedzy młodszym pokoleniom. Do tych najpopularniejszych, moim zdaniem, można zaliczyć: „Chodzi lisek koło drogi”, „Berek” czy „Głuchy telefon”. Ale w książce Piętki pojawiają się też aktywności, które dla mnie były nowością, jak „Król Lul”, „Pikuty, czyli gra

w noża” albo „Kot ministra”. Na szczęście autorka bardzo dokładnie wyjaśnia, jak bawić się w każdą z przywoływanych gier. Swoją przekaz uatrakcyjnia cytowaniem dziecięcych rymowanek, które recytowano podczas zabawy. Dzięki temu publikacja, oprócz utrwalania przejawów ludyczności dziecięcej kultury, staje się zbiorem scenariuszy, z których można skorzystać.

Taki odbiór „Gier i zabaw...” warunkuje też jej specyficzna oprawa graficzna, którą wykonała Agata Raczyńska. W książce pojawia się wiele kolorowych ilustracji, które mają zobrazować przebieg zabaw czy jedynie konkretnych czynności. Jednak najciekawsze wydaje się połączenie fragmentów zdjęć bawiących się dzieci z dawnych czasów z ich narysowanymi współczesnymi rówieśnikami. Jednoznacznie sugeruje to, że i dzisiaj najmłodszy mógłby zainteresować się grami sprzed epoki komputerów.

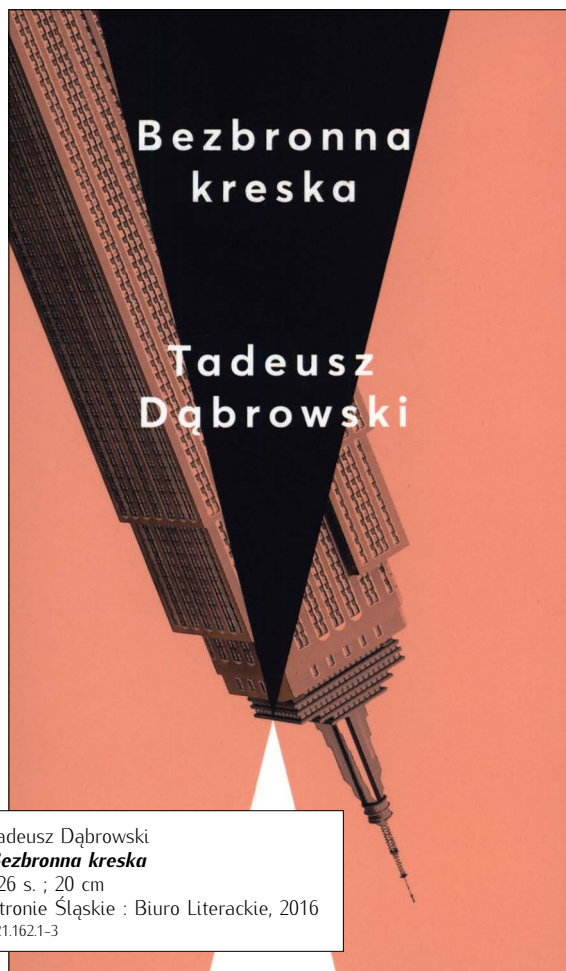
„Gry i zabawy z dawnych lat” to książka, do której chętnie sięgną najmłodszy w poszukiwaniu alternatywnych sposobów na nudę. Mogą tutaj znaleźć wiele pomysłów, a także inspiracji do kreowania własnych zabaw i gier. Nie wolno jednak zapominać, że leksykon Piętki jest również przyjemną lekturą dla dorosłych, przywołującą czasy dzieciństwa. Może mimo dojrzałego wieku ktoś z Was chciałby jeszcze raz zagrać w klasę albo zośkę...? ■



Katarzyna Piętka  
*Gry i zabawy z dawnych lat*

123 s. ; 26 cm  
Warszawa : Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, 2016  
793(438)





Aleksandra Sutowicz

**Jeśli wierzyć autorowi, prace nad jego mini powieścią „Bezbronna kreska” trwały pięć lat. Efekty literackiego wysiłku Tadeusza Dąbrowskiego, choć zadziwiają ilością, to jednak zaskakują treścią. Należy zatem przenieść się geograficznie daleko, bo aż za ocean, do Nowego Jorku by wspólnie z bohaterem opowiadania stanąć na krawędzi fikcji i rzeczywistości. A więc ruszamy.**

TAK OTO ZA JEGO SPRAWĄ PRZENOSIMY się do najludniejszej aglomeracji Stanów Zjednoczonych. Jesteśmy na spotkaniu literackim polskiego pisarza – poety, a zarazem głównego bohatera. Zakochujemy się w przypadkowo spotkanej dziewczynie Megan. Spędzamy z nią czas w nowojorskich korkach i restauracjach, zwiedzamy mieszkanie, gorączkowo jej poszukujemy, gdy znika następnego dnia, po to by ją ponownie

## Na krawędzi fikcji i rzeczywistości

odnaleźć i znów zatopić się w atmosferze nieco mglistego czy nawet smogowego Nowego Jorku. Tak po prostu przedstawia się fabuła tego mikro opowiadania.

Autor zaciera wyraźną granicę między rzeczywistością, a literacką fikcją. To czytelnik musi zdecydować, co w tej „podróży” jest realnością, a co halucynacją. Błądząc po nowojorskich alejach razem z głównym bohaterem dochodzimy do wniosku, że życie to tekst, który piszemy, kreślimy, zmieniamy lub nadajemy nowe sensory. Mamy pełną kontrolę nad narracją, reszta czyli przestrzeń, konwencja, drugoplanowi bohaterowie, didaskalia, to wszystko jest sumą przypadków. Pisanie jest dla głównego bohatera ratunkiem, próbą wytlumaczenia sobie samemu sytuacji, w jakiej się znalazł, szukaniem odpowiedzi. Romans kończy się znakiem zapytania. Erotyczne uniesienia i radość z odnalezienia kobiety są wykrzyknikami. A za całym pobylem w USA można postawić wielokropek, nic się jednoznacznie nie

### życie to tekst

skończyło zatem metaforycznie kropki brak.

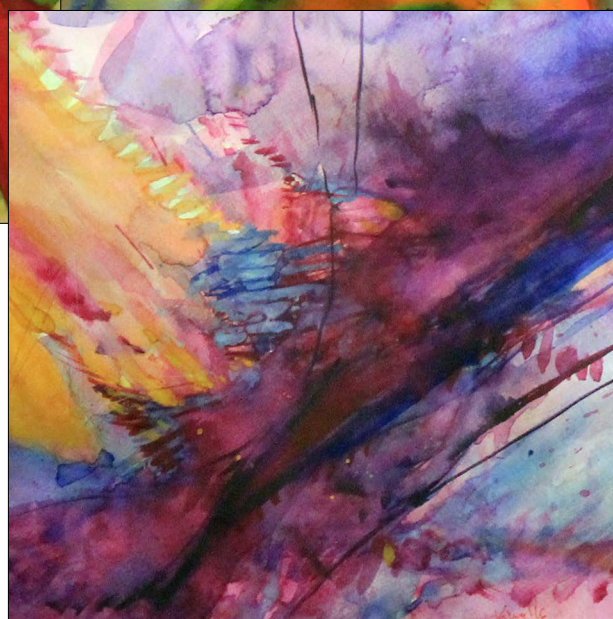
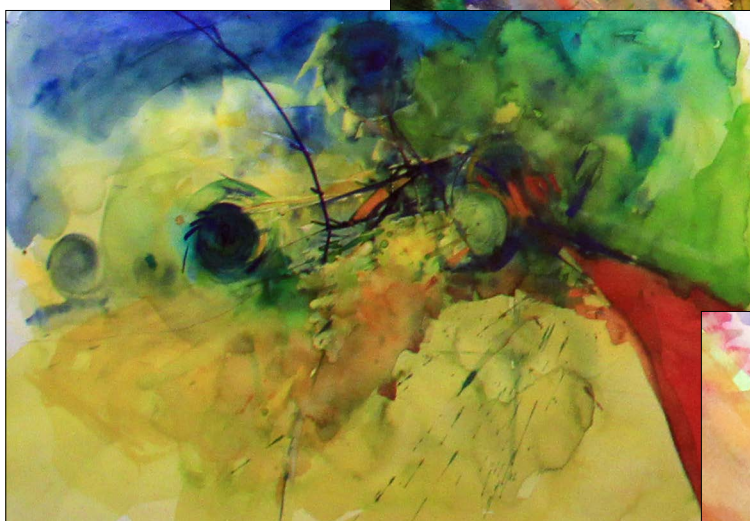
W tym metatekście mamy do czynienia również z aluzjami do współczesnego życia wielkich aglomeracji. Nieustannie poszukujemy i chcemy więcej, cenimy swój indywidualizm, a jednocześnie pragniemy bliskości, eksperymentujemy w relacjach międzyludzkich, jednocześnie godząc się na udział w różnego rodzaju grach (scena w polskiej restauracji, podczas której Megan próbuje dania: wątróbka, żółtądkę, ozorki). Żyjemy szybko i wygodnie. Wydaje mi się, że autor chciał pokazać, że współcześnie fikcję literacką zastępuje wirtualna rzeczywistość.

Na zakończenie warto zwrócić uwagę na język, który stanowi trzon opowiadania Dąbrowskiego. Bogaty w metafory, pojedyncze zdania, które budują dynamizm scen. Język pełen wyszukanych porównań i niezliczonych metafor. Niekiedy wydaje się jakby bohater popadł w rodzaj furii poetyckiej by znów spokojnym, wyrafinowanym stylem powrócić do precyzji i uporządkowanego planu zdarzeń.

Czy polecam te lekturę? Jest to z pewnością pozycja wymagająca, w której trzeba prześledzić uważnie każde zdanie i wyłapać odpowiedni sens. Każdy znajdzie w niej na pewno coś innego i bez znaczenia czy stanie na krawędzi rzeczywistości czy będzie balansować na linii fikcji. ■

Izabela  
Łazarczyk-Kaczmarek

# Półprzezroczysta wizualność



Fot. z archiwum DŚT

**Akwarela – technika występująca już w malarstwie Starożytnego Egiptu i Grecji, w ściennym antycznego Rzymu czy wczesnochrześcijańskich katakumbach, zazwyczaj używana do tworzenia rysunków i szkiców przygotowawczych do obrazów. Na krótko zaadaptowana w XV w. w grafice książkowej, jako samodzielna dziedzina rozwinęła się dopiero między XVII a XIX wiekiem, w epoce oświecenia w Polsce.**

To **TECHNIKA WYMAGAJĄCA** precyzji i przemyślanych wyborów, ze względu na trudność w nanoszeniu poprawek, pozwalająca jednak na uzyskanie niuansów kolorystycznych w swej półprzezroczystej niekiedy wizualności. Właśnie ta technika została zaprezentowana na wystawie Kingi Łopot-Dzierwy w Domu Środowisk Twórczych w Kielcach. Autorka akwareli, absolwentka kieleckiego „plastyka” oraz Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Krakowie (wychowanie plastyczne). W 2010 r. otrzymała tytuł doktora sztuk pięknych na Wydziale Malarstwa Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie.

Pokazywane w pałacyku T. Zielińskiego prace to zestaw abstrakcyjnych obrazów, w których

kompozycja budowana jest przez kolor. To on pobudza nasze zmysły, to on jest głównym punktem zaczepienia w niewielkiego rozmiaru akwarelach. Artystka łączy abstrakcyjne, fantazyjne formy z fragmentami znanych, utartych w pamięci kształtów: kawałkami liści, skrzydeł motyli czy też bardziej geometrycznymi odniesieniami. Budowane przeważnie diagonalnie, dynamiczne, mogą być zapisem emocji, które artystka zmienia w akwarele. Prace przywodzą na myśl również malarstwo na jedwabiu, w swojej dekoracyjności przywołują na myśl projekty na tkaninach, z ich delikatnością, pomimo niewielkiego formatu wybranego przez Kingę Łopot-Dzierwę. ■





# Malarstwo, które wchłania

Agata Suszczyńska

**Na kieleckim Wzgórzu Zamkowym, w galerii Muzeum Narodowego do 22 maja można oglądać wystawę zatytułowaną „Jacek Sienicki. Generalia”. W ramach rozbudowanej prezentacji prac artysty uwzględnione zostały realizacje w różnych technikach, z przewagą malarstwa olejnego, o zróżnicowanym formacie i odmiennych tematach.**

KATALOG WYSTAWY, opatrzonego tekstem Wiesława Łuczaja i Macieja Zdanowicza ukazał się pod hasłem „Obrazy, które wchłaniają”. Sformułowanie, zaczerpnięte ze słów artysty, obejmuje w nawias definicję kolekcji, zbudowaną na czas trwania wydarzenia. Sam artysta

Sam proces twórczy artysta widział jako skomplikowaną drogę, w której nie liczyło się dokładanie kolejnych elementów powstającego obrazu, ale przede wszystkim doświadczanie samego siebie, odkrywanie kolejnych pokładów świadomości, intuicji, widzenia, zdolności przekazywania zjawisk. Nie lubił nadmiernego teoretyzowania, dla niego sztuka była obszarem autentycznego przeżycia, a twórczość miała być zapisem kondycji psychofizycznej, myśli i doświadczeń. Dzięki konsekwencji i wytrwałości Sienicki wykształcił

## Rewelacyjne. Prawdziwe. Wrażliwe.

mówił, że (...) niezależnie od orientacji artystycznej są obrazy, które wchłaniają i takie, od których się odbijamy. Nie umiem określić precyzyjnie, na czym polega tajemnica wchłaniania. Ale tylko ona się liczy. Jacek Sienicki urodził się w Warszawie w 1928 r. Razem z matką i starszym o dwa lat bratem spędzili tam wojnę. Dyplom z malarstwa na Akademii Sztuk Pięknych uzyskał w pracowni Artura Nahta-Semborskiego w roku 1954. Na macierzystej uczelni realizował się w pracy pedagogicznej, prowadząc pracownię malarstwa.

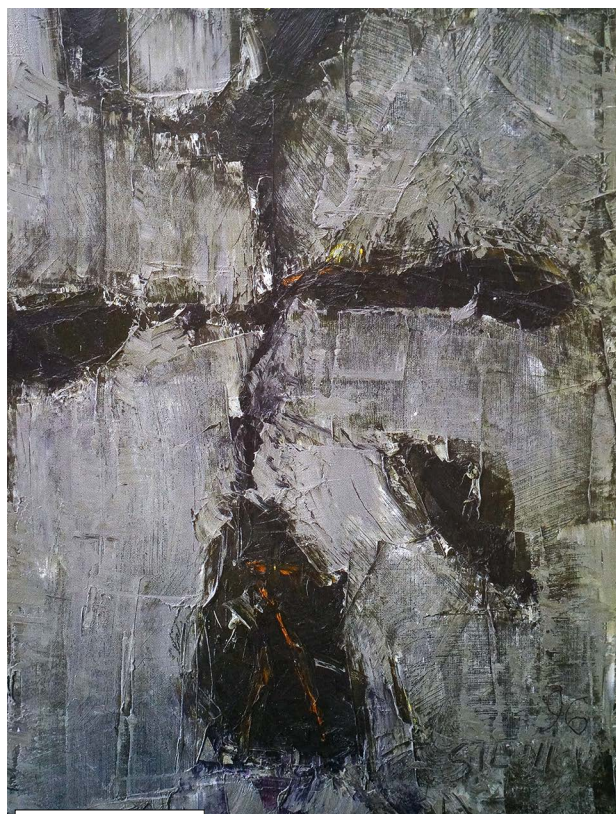
We wspomnieniach jego były uczeń, profesor Mariusz Woszczyński opisuje go tak: (...) odkrywał krąg sztuki, wysoką nutę. Opowiadał wiele, barwnie, trafiał do serc i rozumu. I, przede wszystkim, była w tym bliskość człowieka. To trudno przekazać, ale Jego bezpośredniość przy tej wysokiej nucie, była dla nas młodych tak cenna.



„WNĘTRZE PRACOWNI”



właściwą tylko sobie formę malarską. Cechą charakterystyczną jego obrazów jest obdarzenie zarówno linii jak i plamy równoprawnym funkcjonowaniem. Kolor nakładany był nie tylko jako plastyczna materia, ale jako nośnik znaczeń. Ekspresja użyta w obrazach była oswojona przy pomocy logiki plastycznej.

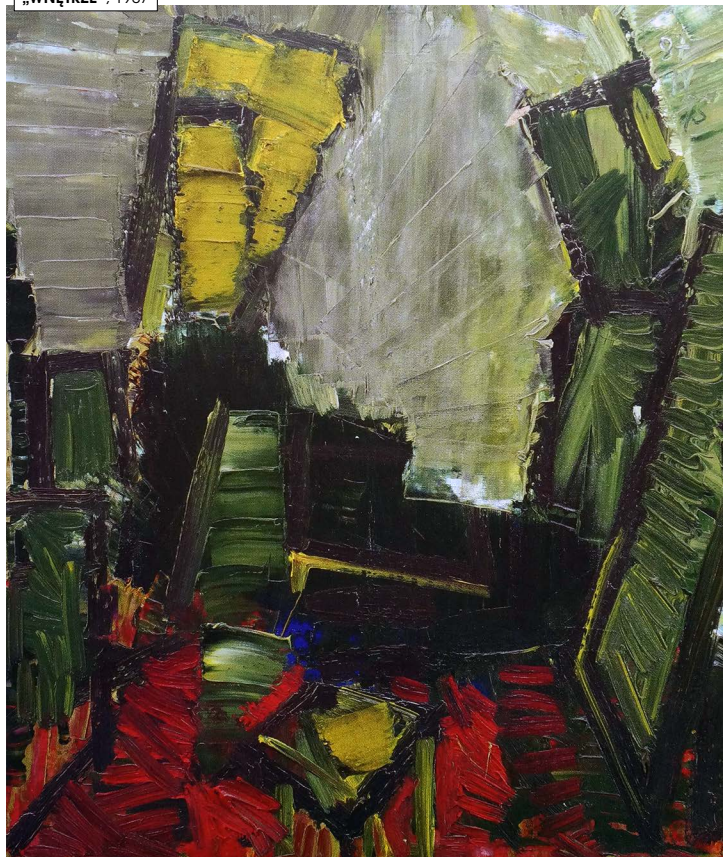


„FIKUS DĘBOWY”, 1996

Pokora twórcza, cierpliwe poszukiwanie, studia nad równowagą i celowością środków malarskich były niezwykle ważne dla artysty. Mówił, że *krzyk osłabia działanie. Stąd mój staty niepokój, aby współtłumniały serce i rozum. Każda zbytnia przesada osłabia działanie, a nie wzmacnia; gubi się właściwe proporcje. Osiągamy nie wyraz, a grymas.*

Na ścianach przestrzeni wystawienniczej w Muzeum Narodowym w Kielcach zawisły obrazy, w których widać pasję, konsekwencję, refleksję i niezwykle zgłębianie właściwości malarskiej formy. W swojej twórczości Sienicki nawiązuje do wspólnej dla jego pokolenia traumy wojennej. *Zburzone domy, szczęki zwierzęcia, wnętrza pracowni, pejzaże, martwe natury, postacie we wnętrzu pracowni, ochłapy mięsa. Powstawały rysunki o ludziach umęczonych, rozstrzelanych, samotnych przed śmiercią i we wnętrzu własnej pracowni. O zrujnowanych domach. Chciałem z tego czerpać. Czas okupacji,*

„WNĘTRZE”, 1987



Fot. Agnieszka Szczyńska

*czas powstania przeżyłem w Warszawie, na moich oczach ginęli ludzie i miasto. Chciałem o tym mówić.*

Kuratorką wydarzenia została Wanda Sienicka, która dba o pamięć i spuściznę po swoim mężu. W pierwszej sali znalazły się głównie przedstawienia kolorystyczne wnętrza, które artysta podejmuje w wyjątkowy sposób. Buduje je balansując na granicy abstrakcji, zaskakuje rozwiązaniami barwnymi, sposobem nakładania farby. Komponuje dynamiczne, ekspresyjne pomieszczenia pracowni, jak i statyczne, spokojne i jakby wyciszone. Widać poszukiwania autora, świadome dobieranie środków wyrazu. Kolejny zakres tematyczny, w którym realizował się Jacek Sienicki to martwe natury. Czaszki, mięso, ryby, skrzypce, butelki, puszki czy kwiatki to przedmioty, które jako pojedyncze obiekty inspirowały i były przyczynkiem do technicznych i artystycznych zmagani. Budynki i pejzaże to kolejna kategoria, którą artysta zgłębiał. I oczywiście postać, której na opisywanej wystawie jest niewiele. Wykonane gwaszem na papierze, samotne, stygmatyzowane. Otwierają przestrzeń do zrozumienia doświadczeń, przez które przeszedł artysta.

Rewelacyjne. Prawdziwe. Wrażliwe. Takie słowa określające malarstwo Sienickiego rozbrzmiewały we mnie po spotkaniu z jego twórczością. Dla każdego admiratora malarstwa jest to pozycja obowiązkowa w ofercie kulturalnej naszego miasta. ■



# W kręgu krakowskiej figuracji metaforycznej

Adam  
Organisty

**Galeria Współczesnej Sztuki Sakralnej „Dom Praczek” w Kielcach daje możliwość przyjrzenia się różnorodnym przykładom sztuki polskiej. Kuratorka, Agnieszka Orłowska, dba o wysoki poziom dzieł prezentowanych na wystawach czasowych, kładąc nacisk zarówno na ich wymowę, jak i klasę artystyczną – niemal zawsze mamy do czynienia z pracami wysmakowanymi, świadczącymi o doskonałej znajomości rzemiosła (*métier*).**

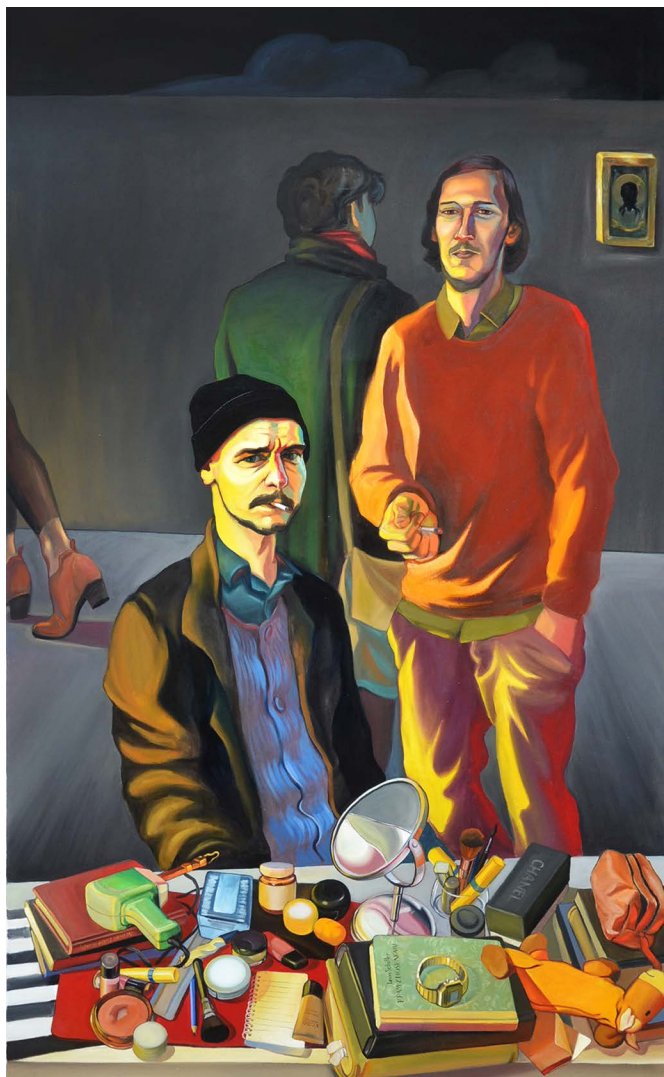
Po pierwsze w „Domu Praczek” można poznać wybrane wątki w twórczości klasyków, którzy współtworzyli historię sztuki polskiej drugiej połowy XX wieku (m.in. Tadeusz Brzozowski, Tadeusz Kantor, Antoni Rzęsa, Jacek Sienicki...). Po drugie, wystawy prezentują dorobek artystów dojrzałych – np. cenionych pedagogów (Maciej Bieniasz, Wiesław Przytuśki...) lub tych mniej rozpoznawalnych, lecz niemniej wybitnych, konsekwentnie niezwracających uwagi na rynek sztuki (przykładem mogą być wyjątkowe realizacje rzeźbiarskie niedawno zmarłego Stanisława Bryndala). Działalność „Domu Praczek” wyróżnia jeszcze jedna ważna cecha – Agnieszka Orłowska prezentuje twórczość młodych artystów. Dowodzi tego otwarta 15 marca wystawa obrazów Damiana Bąka (ur. 1991), który w ubiegłym roku obronił dyplom na Wydziale Malarstwa Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie.

Damian Bąk związany jest też ze stolicą świętokrzyską – w roku 2011 ukończył kieleckie Liceum Plastyczne im. Józefa Szermentowskiego i debiutował wystawą „Najlepsi z Plastyka” w Domu Środowisk Twórczych w Kielcach. Wystawa w „Domu Praczek” to pierwsza indywidualna ekspozycja twórcy, który prowadzi dialog z tradycją krakowskiej „figuracji metaforycznej”, odnoszącej się do tematów o wymiarze uniwersalnym. Przekonują o tym płótna powstałe przed kilkoma laty, obrazujące trudne doświadczenia, a także te najnowsze – portrety czy martwe natury. Przyjrzyjmy się najpierw tym ostatnim:

wizerunki kobiece czy autoportrety kreśli on zdecydowanymi ruchami pędzla, znakomicie oddając charakter postaci. Szczególną uwagę zwracają zrealizowane niedawno – niczym ćwiczenia, wykonywane dla przyjemności malowania – wanitatywne martwe natury przedstawiające m.in. czaszkę jelonka na książce, roślinę w doniczce, które stały się motywem promującym wystawę zatytułowaną „Obrazy oczywiste”. Uzmystwiają one

godną pozazdrosczenia biegłość malarza – niuans kolorystyczne, zwłaszcza w partiach cieni, intensywnie mienia się na tle lokalnych kolorów (np. czerwonej okładki książki).

Na wystawie w „Domu Praczek” motywem wiodącym jest „rozstanie” – taki tytuł nosi bowiem najobszerniejszy cykl obrazów Damiana Bąka. Jego kompozycje stają się niejako ilustracją przedstawianych emocji. Autor wprowadza do mrocznych przestrzeni charakterystyczny kadr: na pierwszym planie zamysłoną postać, którą – jak na obrazach nowożytnych – dzieli od widza parapet. Metaforyczny wyraz sylwetki podkreślają kontury, ujmuje fizjonomię w pewien schemat. Spoglądając bezpośrednio na widza, pozbawiona jest jednocześnie kontaktu z pozostałymi osobami. Bohaterowie obrazów są odwróceniem do siebie plecami a malarz widzi ich wszystkich razem „oczami wyobraźni”, przywołanej w tytule pracy dyplomowej<sup>1</sup>. W tekście przyznaje się, że wsparciem są dlań romantycy. Jedną z programowych swoich ballad – „Romantyczność” – Adam Mickiewicz rozpoczyna cytatem z „Hamleta” Williama Shakespeare’a (*Me-thinks, I see...! Where? – In my mind's eyes*). Wieszczę kończy balladę znamienym sformułowaniem: „miej serce i patrzaj w serce!”. Podobnie niemiecki malarz romantyczny, Caspar David Friedrich, manifestował w malarstwie prymat wewnętrznego świata, pisząc tropem mistyków: *Zamknij oko cielesne, abyś najpierw zobaczył swój obraz okiem duchowym. Wtedy wydobądź na światło dzienne to, co zobaczyłeś w ciemnościach, by mogło powtórnie oddziaływać na kogoś innego z zewnątrz do wewnątrz*. To dzięki takim zabiegom obrazy z cyklu „Rozstanie” nabierają wyrazistej wymowy. Szczególną uwagę przykuwa „Rozstanie 4” z roku 2016, ze znakomicie odtworzoną „martwą naturą” na pierwszym planie. Damian Bąk trafnie scharakteryzował ponadto – przy użyciu kontrastowych barw – mimi-



Damian Bąk, ROZSTANIE 4, 2016, ol. pl., 200x120 cm

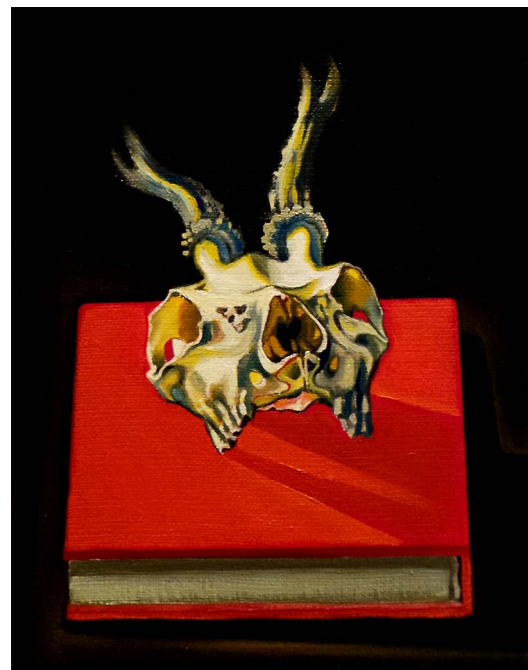
ptycznie kładąc błękit na spodnim odzieniu wąsatego bohatera w czapce, czy też – wykorzystując kolor podmalówki – lśnienie pomarańczowej bluzy stojącego za nim mężczyzny. Obraz uzmystawia zamyślenie malarza do kreowania kompozycji mających charakter opowieści, aranżowanych niemal jak w teatrze. Prowadzi on narrację, zaznaczając fragment opuszczającej tę scenę kobiecej sylwetki. Na pustej, szarej ścianie wyróżnia ikonę, przedstawiającą *sudarium*, w której stronę spogląda jeden z bohaterów obrazu. Malarz nie skupił się jedynie na środkach malarskiej wypowiedzi, nie myśli tylko o formie, ale za jej sprawą o wyrażeniu obrazowanych stanów. Odnosimy wrażenie, że tytułowe „rozstanie” właśnie się wydarzyło. Pozostały bibeloty, kosmetyki, książki, przypomina artysta, a przedstawieni bohaterowie muszą sobie sami z tym doświadczeniem „rozstania” poradzić. Być może dlatego każdy z nich – niczym „człowiek skryty w głębi serca” (*homo cordis absconditus*) – spogląda niewidzącym, zapatrzonym w dal wzrokiem. Pomimo znacznej ilości figur, każda z nich wygląda na osamotnioną.

Damian Bąk chętnie prowadzi dialog z szeroko pojętą tradycją sztuki figuratywnej, w której to ekspresja ręki spaja się z figurą myśli artysty. Chętnie sięga do poetyki „realizmu magicznego”, o czym świadczą podwyższona perspektywa, silne, nienaturalne oświetlenie kreowanych przezeń postaci. W tym kontekście warto więc przypomnieć obrazy figuratywne – zarówno te z okresu międzywojnia, jak i z drugiej połowy XX wieku. Z jednej strony znaczenie mają tu dzieła powstałe w kręgu czasopisma „Valori Plastici” (Giorgio de Chirico, Carlo Carrà) czy obrazy Mario Sironiego, Felice Casorati, nawiązujące do uświęconej *italianità*. Chiricowską koncepcję bezczasowości przenieśli w rzeczywistość dnia artyści nurtu Neue Sachlichkeit. Obrazy Damiana Bąka, genetycznie powiązane z niemiecką nową rzeczowością, odnoszą się także do malarstwa przedstawicieli rodzimego Bractwa św. Łukasza, głównie arcydzieł Antoniego Michalaka. Z drugiej zaś strony inspirację dla obrazów w „Domu Praczek” odnaleźć można w powojennej twórczości Renato Guttuso czy rzeczowo-zimnej kulturze malarskiej Szkoły Lipskiej. Nie tylko wśród obrazów Neo Raucha, ale znacznie bardziej wśród dzieł jego nauczycieli. Werner Tübke, Wolfgang Mattheuer, Volker Stelzmann, Arno Rink, Wolfgang Peuker – to nazwiska

klasyków, którzy są dzisiaj synonimami Szkoły Lipskiej.

„Niedaleko pada jabłko od jabłoni” – Damian Bąk w pełni jawi się jako wychowanek krakowskiej Akademii. W literaturze podkreślano już znaczenie istniejącego w tym środowisku nurtu metaforycznej figuracji. Zainicjowany w latach 60. cyklem „Rowerzysta” Mieczysława Wejmana (1912–1997), wyróżnia krakowską szkołę grafiki na tle innych w Polsce i za granicą. W twórczości pedagogów Damiana Bąka obserwujemy potrzebę prowadzenia dialogu z arcydziełami oraz kreowania narracji, której wiarygodność urzeczywistnia znakomita forma malarska. Warto wspomnieć tu o Grzegorzu Bednarskim (ur. 1954), którego silna osobowość oddziaływała na kilka pokoleń i nadal ma wpływ na malarstwo studentów. To właśnie w najnowszych obrazach Bednarskiego widzieć należy źródła dla kompozycji Damiana Bąka, w których to w dolnej części pola obrazowego pojawiają się owe „martwe natury” z wieloma, zróżnicowanymi kolorystycznie przedmiotami. Znaczenie dla Damiana Bąka mają również twórczość Grzegorza Wnęka (ur. 1974) oraz członków Stowarzyszenie Artystów „Kontrapost”<sup>2</sup>, a także prace jego promotora, Janusza Matuszewskiego (ur. 1963), o czym świadczą kolorystyczne rozświetlenia w partiach cienia („Rozstanie 3”). Myślący student potrafi dobrze spożytkować, wybierając i weryfikując wiadomości z lekcji pobieranych na uczelni. Damian Bąk twórczo wykorzystał czas studiów, formułując własne jakości z elementów obserwowanych w malarstwie swoich pedagogów. Wyraźnie widoczna w obrazach młodego twórcy predylekcja ku realizacjom opowiadającym, o pełnym anegdoty charakterze, przypomina poglądy manifestowane przed laty przez Grzegorza Bednarskiego: *Interesujące jest to, jak często bronimy się przed ilustracyjnością, tracąc w ten sposób możliwość napięcia, jakie rodzi się pomiędzy tekstem, słowem a formą, koncentrując całą treść obrazu jedynie po stronie formy. Obawa malarzy przed tym, żeby nie być ilustratorem, doprowadza do pustki obrazu, który wolimy oglądać w kinie, niż w galerii. Obawa, o której piszę, jest rodzajem zabobonu, od przeszło stu lat tkwiącego w umysłach artystów*<sup>3</sup>.

Malarstwo Damiana Bąka zdaje się odpowiadać na postulat Marii Janion i Zygmunta Baumana, przypominających o utracie „wielkich narracji” przez współczesnego człowieka i o jego



Damian Bąk, CZASZKA I KSIĄŻKA, 2016, ol. pl., 25x20 cm

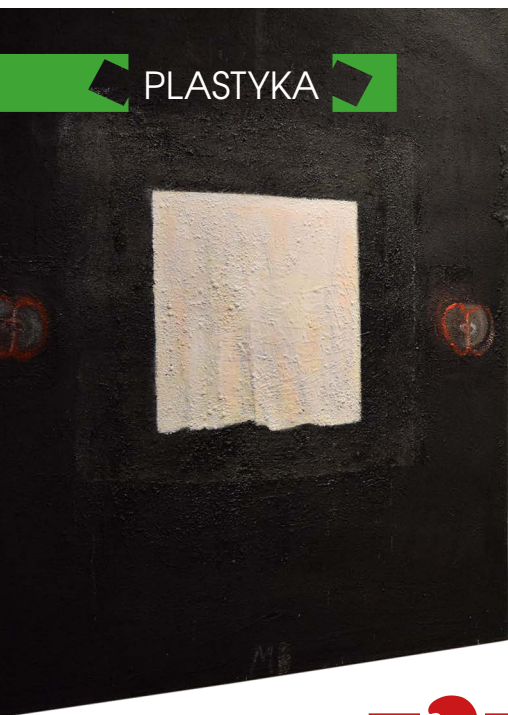
„kalejdoskopowości”, braku „wnętrza”. Młody twórca unika kreowania hermetycznych historii oraz przesycenia kompozycji zaskakującymi elementami na zasadzie *horror vacui*, czego niejednokrotnie można być świadkiem w malarstwie artystów, którzy zagubili inspirację. Prowadzi go temat i jemu jest wierny, gdyż zdobył się on na odwagę, aby zadać sobie pytania natury bardzo osobistej, poświęcając obrazy problematyce „Rozstania”. Wprowadza elementy oniryczne, nasycone nastrojami typowymi dla epoki *fin de siècle*’u. Jednocześnie wykazuje rzadką dojrzałość, unikając epatowania emocjami. Chętnie sięga do poezji romantycznej, jak pisze w pracy dyplomowej. Ale jego świat nie jest – jak dla „Pani Bovary” – li tylko światem książek, nie jest „romantyczny” jak w powieści („wie im Roman”). Malarstwo Damiana Bąka podąża niejako za przestaniem wiersza *Dłaczego klasycy* Zbigniewa Herberta (z tomu „Napis”, 1969). Wie, że jeśli *tematem sztuki / będzie dżbanek zabyty / mała rozbita dusza / z wielkim żalem nad sobą / to co po nas zostanie / będzie jak płacz kochanków / w małym brudnym hotelu / kiedy światą tapetę*. ■

<sup>1</sup> Damian Bąk, *Przestrzenie mojej wyobraźni*, praca magisterska przygotowana pod kierunkiem dr. hab. Janusza Matuszewskiego, prof. ASP, Kraków 2016, m-pis w archiwum Wydziału Malarstwa Akademii Sztuk Pięknych im. Jana Matejki w Krakowie.

<sup>2</sup> Por. M. Kitowska-Tysińska, *Donosy z bliska (Figuracje po raz wtóry)*, [w:] Grzegorz Wnęk, *Obrazy, katalog wystawy*, BWA w Sandomierzu, 2002, BWA w Kielcach, 2003, Kielce 2003, s. 12–14 ntb. Por. *Realizm utracony*, Beata Bigaj, Kinga Nowak, Rafał Pacześniak, Grzegorz Wnęk, katalog wystawy, Galeria Nautilus w Krakowie, Kraków 2011, s. 2.

<sup>3</sup> Cytat ten przywołuje Jerzy Wojciechowski, por. Grzegorz Bednarski, *Piekło według Dantego*, b. m. wyd., 2006, s. 20. Podobną tezę postawiła Maria Janion, pisząc: „Gdzie może kryć się źródło odnowienia literatury i humanistyki? Otóż sądzę, że podstawą humanistyki jest opowieść”, M. Janion, *Niesamowita słowniczko-czyzna. Fantazmaty literatury*, Kraków 2007, s. 9.





Galeria Uniwersytecka w Bibliotece UJK w Kielcach gościła niezwykłą wystawę obrazów prof. Małgorzaty Bieleckiej z wierszowanymi komentarzami autorstwa Bożeny Musiatek, które złożyły się na książkę malarsko-poetycką, zaprezentowaną pod wspólnym tytułem „Relacje”.

Oliwia Hildebrandt

snujemy refleksję  
o sile społecznych opresji

## Sztuka inspiracji...

MAŁGORZATA BIELECKA JEST NAUCZYCIELEM akademickim w Instytucie Sztuk Pięknych Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach. Barbara Musiatek to poetka, dziennikarka, autorka scenariuszy teatralnych, instruktor Miejskiego Ośrodka Kultury w Żorach.

Autorki się nie znają. Powstałe wcześniej dzieła Małgorzaty Bieleckiej stały się źródłem inspiracji dla wierszy. Barbara Musiatek niejako wybrała obrazy te, w których rozpoznała emocje, uczucia i treści najbliższe sobie, poetyckie obrazy zakietkowały w wyobraźni, stały się początkiem dla słowa, dla poezji. Nic dziwnego, bo malarstwo Małgorzaty Bieleckiej jest pełne emocji, dojrzałe i soczyste, jest wyrazem uczuć, za pomocą sugestywnego koloru, syntetyczne w formie a jednocześnie niezwykle wrażliwe. Wydobyte za pomocą delikatnej tkaniki malarskiej, często oparte na kontraście... w harmonii. Siła i zdolność ogniskowania uwagi, właściwe tej sztuce, oddziaływanie symbolem, barwą, środkami nieprzedstawiającymi, nie wprost, są wartością uniwersalną, dodaną. Pobudziło do refleksji, poruszyło wyobraźnię poetki, pojawiły się kolejne obrazy, uczucia, sytuacje, wrażenia, ujęte w literacką formę.

Wystawa stanowi przestrzeń dla tego osobliwego malarsko-poetyckiego dialogu, który wprowadza widzów czyniąc z nich czytelników i zarazem obserwatorów w różne, ale współtętniące ze sobą światy – jeden opisywany kolorem, drugi malowany

słowem – które odmiennymi środkami wyrazu, innymi językami starają się wyrazić, z punktu widzenia kobiet, ten sam kalejdoskop doznań, doświadczeń, emocji, których źródłem w dużej mierze są relacje kobieta – mężczyzna. Postępując się odmiennymi językami, angażując zmysły wzrokowe, budząc emocje za pomocą słowa i obrazu autorki zdają się sięgać do tych samych źródeł inspiracji. *W dwugłosie słów i obrazów snujemy refleksję o radościach i smutkach, o poczuciu wolności i uwarunkowaniach, o sile społecznych opresji. O kobiecie – o kosmosie jej wewnętrznych przeżyć.*

O tym też mówią obrazy z cyklu „Relacje” i inspirowane malarstwem wiersze. ■



Fot. Oliwia Hildebrandt



Agata Suszczyńska

**W Galerii Górnej Biura Wystaw Artystycznych od 10 lutego, przez dwa tygodnie, można było oglądać zbiorową wystawę „Nie wszyscy święci”. Organizatorzy wydarzenia to: „Łaźnia” Radomski Klub Środowisk Twórczych i Galeria oraz BWA w Kielcach.**

**SWOJE PRACE ZAPREZENTOWAŁO** piętnastu artystów. Poszukując odpowiedzi na zadany przez kuratorów temat przedstawili realizacje w różnych technikach plastycznych. Dominowało malarstwo olejne. Imponującym formatem wyróżniał się obraz Mirosława Sikorskiego, profesora ASP w Krakowie. Szeroka na trzy metry, wysoka na ponad dwa realizacja „Apostolado” to połączenie geometrycznej, fikcyjnej przestrzeni w dolnej części obrazu z przedstawieniem zbiorowym powyżej. Dokładnie wykreślone linie równoległe zestawione zostały z ekspresyjnie potraktowanymi portretami świętych (nie świętych?). Tadeusz Boruta, profesor na Wydziale Malarstwa Uniwersytetu Rzeszowskiego swój głos podjął dyptykiem „Św. Franciszek oddaje się pod opiekę Kościoła”. Naga postać męska w otoczeniu antycznych kolumn wymalowana została klasycznie, rzetelnie, symbolicznie.

Dużym nacechowaniem symbolicznym odznaczały się prace Beaty Ewy Białeckiej. W katalogu wystawy autorka o swoich dziełach z cyklu „Z duszą na ramieniu” pisze: *W mojej redakcji „Franciszek” i „Klara” to portrety dzieci o imionach Franciszek i Klara. Utożsamiam tych dwoje z mistycznymi osobami gotyckich świętych, założycieli zakonów. Proponuję połączenie*

## Odległe okiem współczesnym

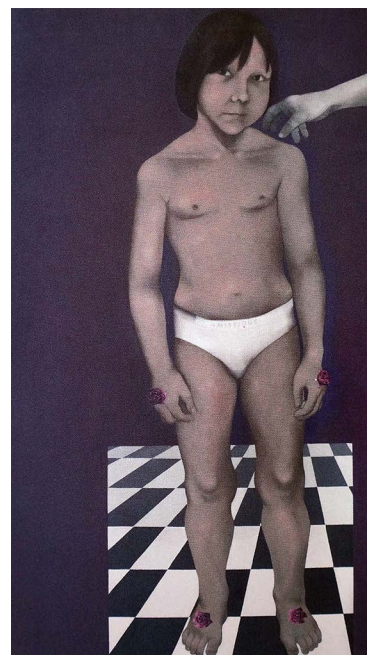


Andrzej Brzegowy, R.B. z cyklu **Moi wszyscy święci**, 2016, parafinowy odlew z matrycy graficznej

tradycji i współczesności. Wprowadzam do obrazu slogan reklamowy „be mistique”, ze świata bielizniarskiej mody, który wspiera sens obrazu a zarazem namaszcza oboje, Franciszka i Klarę, do przyszłej roli. Zależy mi na pokazaniu spotkania ikonografii chrześcijańskiej z elementami znanymi ze współczesnej kultury wizualnej w narracji stricte malarskiej. W technice otówkowej swoje prace wykonał Stanisław Zbigniew Kamieński, profesor na Wydziale Sztuki Uniwersytetu Technologiczno-Humanistycznego w Radomiu. Trzy rysunki z cyklu „Archipelag sierpniowy – 25 lat później” to wizualne hotdy dla Jana Pawła II, Lecha Wałęsy i stoczniovców oraz Andrzeja Wajdy. Użyte do realizacji narzędzia – linia i cyrkiel narzuciły geometryczny charakter wykonania. Linie pionowe, poziome, skosy i łuki zbudowały abstrakcyjne przedstawienie z centralną kompozycją. O pojęciu świętości artysta pisze, że mimo, iż anachroniczne, to można się go współcześnie dopatrywać pod postaciami przyzwoitości, wierności, lojalności czy solidarności właśnie. Stąd logicznie wyprowadzona refleksja i nawiązanie do wydarzeń z sierpnia 1980 roku.

Bardzo ciekawą realizację „R.B.” z cyklu „Moi wszyscy święci” zaprezentował Andrzej Brzegowy. Parafinowy odlew z matrycy graficznej o średnicy 85 cm przedstawia matkę twórcy. Kieruje ona temat świętości w stronę najbliższych nam osób, trochę zaskakująco, bo święci wydają nam się z reguły odlegli, nieosiągalni. Pod znakiem zapytania świętość świętych postawił rzeźbiarz Mirosław Kotsut. Polichromowana rzeźba w drewnie przedstawia rosyjskiego mnicha Rasputina, który ukrywa się pod płaszczem świętości. Na wystawie nie zabrakło również pracy z dziedziny mediów cyfrowych. Film Mariusza Dańskiego wyświetlony został z rzutnika podwieszonego pod sufitem na podłogę. Czarno białe, w mocnych kontrastach przedstawiał męską postać w różnych pozach i przestrzeniach.

Wystawa należy do ciekawszych propozycji, współczesnych interpretacji pozornie odległych pojęć.



Beata Ewa Białeckia  
**Franciszek - be mistique**, 2010

Fot. Agata Suszczyńska



# Od góry do dołu harmonia kontrastów

Oliwia Hildebrandt

**Nowy rok to czas podsumowań. Tradycyjnie w Galerii Biura Wystaw Artystycznych odbyła się doroczna wystawa oddziałów świętokrzyskich związków: Polskich Artystów Plastyków, Fotografików, Rzeźbiarzy i Stowarzyszenia Edukacji Plastycznej „Kapitał sztuki – suplement 2016”, która objęła całą przestrzeń wystawienniczą Galerii Górnej i Dolnej.**

NAGROMADZONE W JEDNEJ PRZESTRZENI prace artystów wielu dziedzin i zainteresowań, technik oraz pokoleń, wyrażające indywidualne wyobrażenia światów zewnętrznych i własnych, zobrazowanych w odrębnych realizacjach, stanowią ciekawą materię. Widać mnogość rozwiązań, postaw artystycznych i różnorodność formy – począwszy od realizmu, poprzez narrację, symbolizm, syntezę, aż do minimalizmu i abstrakcji przejawiającej się w kombinacjach malarskich i geometrycznych.

Na pierwszy rzut oka dostrzegamy różnorodność, jednocześnie jawi się indywidualizm. Artyści podążają drogą, często obraną od lat, naturalnie modyfikując z biegiem czasu sposób obrazowania, stosownie do doświadczeń, procesów. Często badają nieznane obszary, eksperymentując z formą, treścią.

Natura i człowiek – są w skrócie inspiracją dla wszystkich twórców.

Portret indywidualny czy zbiorowy – od klasycznego ujęcia (Kazimierz Kotomija-Run), poprzez wrażeniowe i reporterskie, bo złapane w czasie sceny rodzinne Leszka Nicińskiego, reprezentuje również Paweł Liszewski, którego temat homoerotyzmu staje się inspiracją nowoczesnych rozwiązań formalnych.

Motyw pejzażu w malarstwie, to temat częsty, staje się obiektem obserwacji i przetworzenia od realizmu i koloryzmu (Zdzisław Surowiec, Pytlewska), poprzez impresje (Zbigniew Skirmuntt, Władysław Szczepański) ku syntezie (Aleksandra Potocka-Kuc), aż do minimalizmu (Oliwia Hildebrandt), która dekonstruuje, zamykając pejzaż w kompozycjach abstrakcyjnych, z ładunkiem emocji i koloru. Bliskie syntezie, ale i pełne ciepła i nostalgii są prace Tamary Maj, artystki posługującej się wszechstronnym medium, tym razem kolażem.

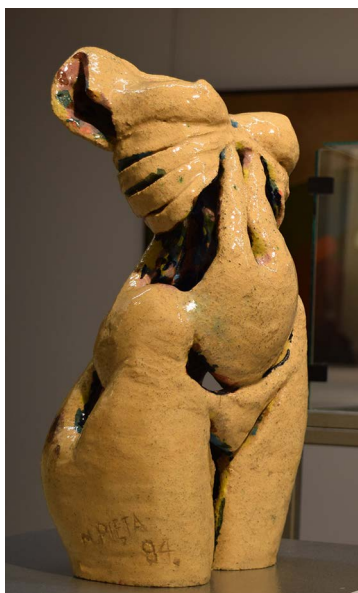
Wrażenie, kolor, ekspresja, delikatność łagodząca kontrast, przenikające się, lecz stabilne, pozostające w dialogu tytułowe Dwa światy Małgorzaty Bieleckiej doskonale obrazują harmonię pierwiastków, sił spraw-

## różnorodność i indywidualizm

czych, przywodzą dobrze znane yin i jang, jednakże w indywidualnie przetworzonej malarsko postaci. Harmonia przeciwieństw to właściwie cecha przewodnia całej wystawy. Reprezentują ją także prace Marka Wawro w abstrakcjach dynamicznych, z gestu, barwy, linii, oczyszczone kontrastem z syntetycznym skutkiem. Kazimierz Witold Kielian podobnie w swoistych abstrakcyjnych realizacjach poddaje fizycznym doświadczeniom tkankę malarską. Harmonia przeciwieństw to też idea grafiki i rysunku (Teresa Ślusarek, Witold Świeca, Katarzyna Ziółowicz) to siła kontrastu, światła i cienia podsycających wybrany temat.

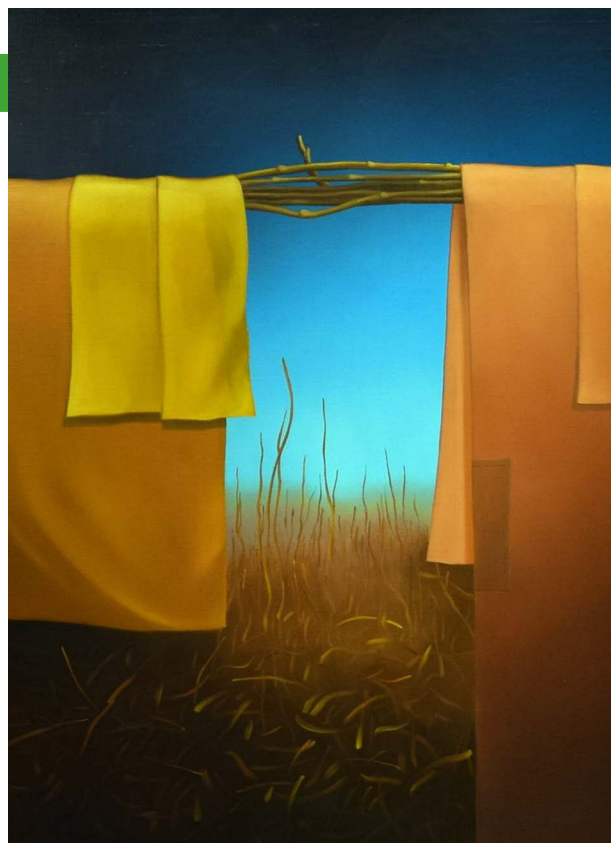
W rzeźbie naturalnie artyści obrazują przestrzenia i co najciekawsze skupienie na detalu jest odwrotnie proporcjonalne do wielkości dzieła, co oznacza mikrosmosy detalu i makrosyntezę ingerencji w przestrzeni.

Galerię Dolną tradycyjnie zapelnili prace fotografików, niezwykle różnorodne, podejmujące jednak bliskie wszystkim twórcom motywy człowieka, krajo-  
brazu, indywidualnie przetworzone czy interpretowane.



Specjalną przestrzeń wystawienniczą zapętnili realizacje artystów, którzy odeszli w roku 2016: monumentalne, ekspresyjne prace Mariana Czapli, rzeźbiarskie formy Macieja Pięty, czy tęczące dwie życiowe pasje: fotografowanie i latanie, fascynujące zdjęcia Piotra Krupy. Ta retrospektywna prezentacja pozwoliła szczególnie szeroko spojrzeć na twórczość Sławomira Antoszewskiego, jednego z czołowych kieleckich malarzy. Mogliśmy zobaczyć zarówno wczesne, bo z lat 70. i 80. (Cykle: „Misterium figury czteroramiennej”, „Teatr po drodze”, „Teledysk”, „Pejzaże”) jak i te stworzone po roku 2000 (z cyklu „Przedmioty bez specjalnych wartości”) prace tego artysty. Perfekcyjne i precyzyjne, zarówno w formie malarskiej jak i w treściach przez nią niesionych obrazy, pełne są metafory, głębi, swoistego klimatu, niosą znamiona subtelного nadrealizmu, potęgowanego kolorem, kontrastem i tym szczególnym użyciem światła, dzięki którym obrazy sugestywnie działają na wyobraźnię widza.

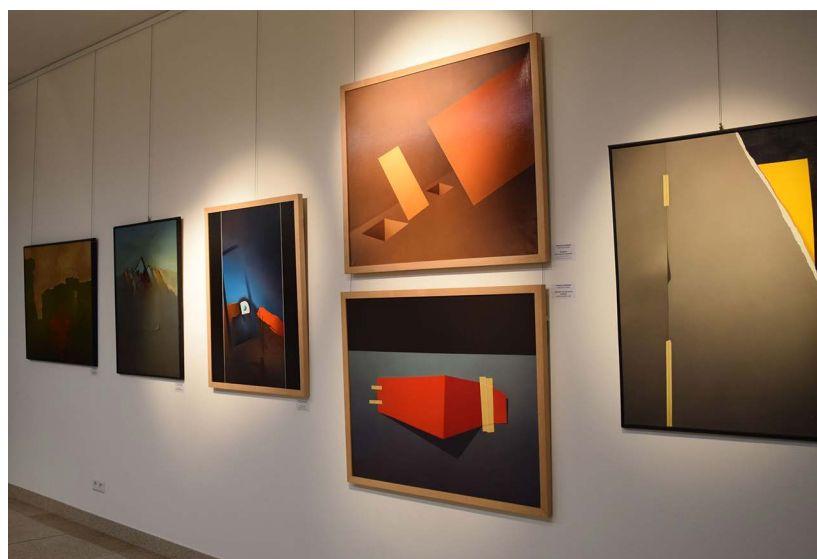
W wystawie uczestniczyli: ZPAP – Małgorzata Bielecka, Oliwia Hildebrandt, Kazimierz Witold Kielian, Ewa Skowerska-Kosmalska, Kazimierz Kołomyja-Run, Bogdan Kowalczyk, Aleksandra Potocka-Kuc, Paweł Liszewski, Tamara Maj, Sławomir Micek, Leszek Niciński, Bogdan Ptak, Joanna Pytlewska, Zdzisław Surowiec, Zbigniew Skirmuntt, Agata Suszczyńska, Teresa Anna Ślusarek, Stanisław Świeca, Władysław Szczepański, Rafał Urbański, Marek Wawro, Katarzyna Ziółowicz, Ewa Wiśniewska-Zduniak; ZPAF – Robert Andre, Robert Baś, Jerzy Bednarski, Piotr Bieniek, Andrzej Borys, Artur Dziwirek, Karolina Falkiewicz, Irena Gałuszka, Tomasz Grzyb, Joanna Jarząbek, Beata Jędruch, Piotr Kaleta, Łukasz Max Kania, Joanna Klich, Sebastian Klochowicz, Leszek Kowalski, Małgorzata Kozakowska, Waldemar Kozub, Andrzej Łada, Zofia Tabisz-Mikosz, Janusz Mielczarek, Antoni Myśliwiec, Jakub Ochńio, Stanisław Orłowski, Sławomir Oszywa, Jerzy Piątek, Jacek Rzodeczko, Małgorzata Stępnik, Brunon Szczapiński, Bogdan Szczupaj, Jacek Szwic, Zofia Turno, Wiesław Turno, Wiesław Warchoń, Mieczysław Wroński, Stanisława Zacharko-Łagowska, Krzysztof Zajac, Jan Zych; ZPAR – Kornel Arciszewski, Sylwester Kietek, Sławomir Micek, Waldemar Musik, Katarzyna Nawrocka, Monika Nogiej, Henryk Sikora, Barbara Stawecka, Anna Stawecka, Wacław Stawecki, Halina Stawowy-Dombrowska, Piotr Suliga, Dawid Szlufik, Paweł Osóbka,



Fot. Oliwia Hildebrandt

Longin Witczak; PSEP – Małgorzata Bielecka, Mirosław Benedyktowicz, Beata Borek, Wiesława Kisiąta, Waldemar Kozub, Tamara Maj, Witold Popielski, Zbigniew Porębski, Marek Sabat, Justyna Soja-Sadowska, Barbara Wnuk-Spirowska, Magda Szplit, Teresa Anna Ślusarek, Zofia Turno, Wiesław Turno, Edward Tuz, Urszula Wolska, Katarzyna Ziółowicz, Marian Żywczyk.

Prace artystów zmarłych w 2016 roku: Marian Czapla (1946–2016), Sławomir Antoszewski (1956–2016), Piotr Krupa (1966–2016), Maciej Pięta (1959–2016).■





instytuty

muzea

teatry

biblioteki

stowarzyszenia

galerie

federacje

Instytucje kultury:

**MUZEUM NARODOWE W KIELCACH PAŁAC BISKUPÓW KRAKOWSKICH**25-010 Kielce, pl. Zamkowy 1, tel. 41 344 40 14  
kasa biletowa: tel. 41 344 23 18  
e-mail: poczta@mnki.pl; www.mnki.pl**MUZEUM HISTORII KIELC**25-303 Kielce, ul. Św. Leonarda 4, tel. 41 340 55 20  
www.muzeumhistoriikielce.pl**MUZEUM LAT SZKOLNYCH STEFANA ŻEROMSKIEGO**25-013 Kielce, ul. Jana Pawła II, tel. 41 344 57 92  
www.mnki.pl**GALERIA WSPÓŁCZESNEJ SZTUKI SAKRALNEJ „DOM PRACZKI”**25-009 Kielce ul. Zamkowa 5/7, tel. 41 367 62 97  
e-mail: dompraczki@o2.pl**MUZEUM ZABAWEK I ZABAWY**25-367 Kielce, pl. Wolności 2  
tel. 41 34 440 78, tel./fax. 41 344 48 19  
e-mail: poczta@muzeumzabawek.eu  
www.muzeumzabawek.eu**DWOREK ŁASZCZYKÓW**

25-025 Kielce, ul. Jana Pawła II 6, tel. 41 34 450 06

**BIURO WYSTAW ARTYSTYCZNYCH**25-011 Kielce, ul. Kapitulna 2, tel. 41 36 76 447  
e-mail: sekretariat@bwakielce.art.pl  
www.bwakielce.art.pl**TEATR ŁALKI I AKTORA „KUBUŚ”**25-304 Kielce, ul. Duża 9  
tel. 41 344 58 36, 41 368 02 93  
e-mail: sekretariat@teatr-kubus.pl  
www.teatr-kubus.pl**GALERIA SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ „WINDA”**25-334 Kielce, pl. Moniuszki 2b, tel. 41 344 40 32 w. 262  
www.galeriawinda.pl**MUZEUM DIALOGU KULTUR**25-303 Kielce, Rynek 3, tel. 41 344 60 96  
www.mdk.mnki.pl**GALERIA ZPAP „TYCJAN” SKLEP BOHEMA**25-007 Kielce, pl. Artystów / ul. Sienkiewicza 29  
tel. 668 895 221**GALERIA XS**25-717 Kielce, ul. Podkaszorna 117  
http://wpia.ujk.edu.pl/isp**INSTYTUT DIZAJNU**25-009 Kielce, ul. Zamkowa 3, tel. 41 315 26 39, w. 117  
www.idkielce.pl**TEATR IM. STEFANA ŻEROMSKIEGO**25-507 Kielce, ul. Sienkiewicza 32  
tel. 41 344 75 00, 41 344 47 65  
tel. 41 344 60 48 w. 31 – impresariat  
e-mail: biuro@teatr-zeromskiego.com.pl  
www.teatr-zeromskiego.com.pl**FILHARMONIA ŚWIĘTOKRZYSKA IM. OSKARA KOLBERGA**25-369 Kielce, ul. Żeromskiego 12  
tel. 41 368 11 40, kasa biletowa: 41 365 54 83  
e-mail: impresariat@filharmonia.kielce.com.pl  
www.filharmonia.kielce.com.pl**GALERIA SZTUKI „ZIELONA”**28-100 Busko-Zdrój, al. Mickiewicza 7  
tel. 41 378 71 91  
e-mail: galeriazielona@busko.com.pl**DOM ŚRODOWISKI TWÓRCZYCH „PAŁACYK TOMASZA ZIELIŃSKIEGO”**25-009 Kielce, ul. Zamkowa 5  
tel. 41 367 67 70, 41 367 67 71  
www.pałacyzielinskiego.pl**KIELECKIE CENTRUM KULTURY**25-334 Kielce, pl. Moniuszki 2b, tel. 41 344 40 32  
www.kck.com.pl**KIELECKI TEATR TAŃCA**25-334 Kielce, pl. Moniuszki 2B  
tel./fax 41 361 27 46, 41 341 51 77  
e-mail: impresariat@ktt.pl, ktt@ktt.pl; www.ktt.pl**WOJEWÓDZKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA IM. WITOLDA GOMBROWICZA W KIELCACH**25-033 Kielce, ul. Ściegiennego 13, tel. 41 344 70 74  
www.wbp.kielce.pl**PEDAGOGICZNA BIBLIOTEKA WOJEWÓDZKA W KIELCACH**25-025 Kielce, ul. Jana Pawła II 5, tel. 41 344 28 61  
www.pbw.kielce.pl**MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA W KIELCACH**25-406 Kielce, ul. Konopnickiej 5  
tel. 41 362 70 13, 41 368 54 09, fax 41 362 61 15  
biblioteka@mbp.kielce.pl; www.mbp.kielce.pl**„BAZA ZBOŻOWA”**25-416 Kielce, ul. Zbożowa 4  
www.baza-zbozowa.eu**WOJEWÓDZKI DOM KULTURY**25-033 Kielce, ul. Ściegiennego 2, skr. poczt. nr 5  
tel. 41 365 51 00, fax 41 361 83 81  
e-mail: wdk@wdk-kielce.pl; www.wdk-kielce.pl

Magazyn “Projektor” jest dostępny:

**KIELCE**

ANTYKWARIAT NAUKOWY IM. ANDRZEJA METZGERA (ul. Sienkiewicza 13)

BAZA ZBOŻOWA (ul. Zbożowa 4, lokal 12 – redakcja; lokal 1 – zarząd; budynek ochrony)

BIBLIOTEKA UNIwersytecka w KIELCACH (ul. Świętokrzyska 21e)

DOM ŚRODOWISKI TWÓRCZYCH (ul. Zamkowa 5)

GALERIA „FORMA” (ul. Mała 4)

GALERIA SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ BWA (ul. Kapitulna 2)

GALERIA WSPÓŁCZESNEJ SZTUKI SAKRALNEJ „DOM PRACZKI” (ul. Zamkowa 5/7)

GALERIA ZPAP „TYCJAN” I SKLEP BOHEMA (pl. Artystów)

ILO IM. STEFANA ŻEROMSKIEGO (ul. Ściegiennego 15)

INSTYTUT DIZAJNU (ul. Zamkowa 3)

INSTYTUT SZTUK PIĘKNYCH UJK (ul. Podkaszorna 117)

KIELECKI PARK TECHNOLOGICZNY (ul. Olszewskiego 6)

MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA (Filie – ul. Karczówkowska 20, ul. Krzemionkowa 1, ul. Jagiellońska 36, ul. Romuła 3, ul. Warszawska 147, ul. Wikaryjska 1, ul. Okrzei 9, ul. Konopnickiej 5, ul. Jana Nowaka-Jeziorańskiego 53, ul. Zagórska 60, ul. Naruszewicza 25)

MEODZIEŻOWY DOM KULTURY (ul. Koźia 10a)

MUZEUM DIALOGU KULTUR (Rynek 3)

MUZEUM HISTORII KIELC (ul. Leonarda 4)

MUZEUM ZABAWEK I ZABAWY (pl. Wolności 2)

PEDAGOGICZNA BIBLIOTEKA WOJEWÓDZKA (ul. Jana Pawła II 5)

ŚWIĘTOKRZYSKA OKRĘGOWA IZBA ARCHITEKTÓW (ul. Siłniczna 15)

TEATR ŁALKI I AKTORA KUBUŚ (ul. Duża 9)

URZĄD MIASTA KIELCE (Rynek 1)

WOJEWÓDZKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA (ul. Ściegiennego 13)

WYDZIAŁ HUMANISTYCZNY UNIwersYTETU JANA KOCHANOWSKIEGO (ul. Świętokrzyska 21d)

**BUSKO ZDRÓJ**

BIBLIOTEKA PEDAGOGICZNA (ul. Armii Krajowej 19)

**JĘDRZEJÓW**

BIBLIOTEKA PEDAGOGICZNA (ul. 11 Listopada 37)

**KAZIMIERZA WIELKA**

BIBLIOTEKA PEDAGOGICZNA (ul. Partyzantów 29)

**KOŃSKIE**

BIBLIOTEKA PEDAGOGICZNA (ul. Zamkowa 5)

**OPATÓW**

BIBLIOTEKA PEDAGOGICZNA (ul. Stowackiego 54)

**OSTROWIEC ŚWIĘTOKRZYSKI**

BIBLIOTEKA PEDAGOGICZNA (os. Ogrody 26)

**PÍŃCZÓW**

BIBLIOTEKA PEDAGOGICZNA (ul. Nowy Świat 3)

**SANDOMIERZ**

BIBLIOTEKA PEDAGOGICZNA (ul. Sokolnickiego 4)

**STARACHOWICE**

BIBLIOTEKA PEDAGOGICZNA (ul. Kościelna 30)

**STASZÓW**

BIBLIOTEKA PEDAGOGICZNA (ul. Piłsudskiego 7)

**WŁOSZCZOWA**

BIBLIOTEKA PEDAGOGICZNA (ul. Wiśniowa 10)

**BIAŁYSTOK**

WYDZIAŁ FILOLOGICZNY UNIwersYTETU W BIAŁYMSTOKU (ul. Uniwersytecka 1)

KSIĄŻNICA PODLASKA (ul. Skłodowskiej-Curie 14a)

**CZĘSTOCHOWA**

MIEJSKA GALERIA SZTUKI (Al. Najświętszej Maryi Panny 64)

**JELENIA GÓRA**

BIURO WYSTAW ARTYSTYCZNYCH (ul. Długa 1)

**KRAKÓW**

INSTYTUT BLISKIEGO I DALEKIEGO WSCHODU UNIwersYTETU JAGIELLOŃSKIEGO (ul. Gronostajowa 3)

KATEDRA MULTIMEDIÓW UNIwersYTETU PEDAGOGICZNEGO (ul. Mazowiecka 43)

WYDZIAŁ MALARSTWA AKADEMII SZTUK PIĘKNYCH (pl. Matejki 13)

**OPOLE**

MUZEUM POLSKIEJ PIOSENKI (ul. Piastowska 14a)

**SKIERNIEWICE**

BIURO WYSTAW ARTYSTYCZNYCH (ul. Reymonta 33)

**RZESZÓW**

RZESZOWSKA AKADEMIA KOMIKSU – WOJEWÓDZKI DOM KULTURY (ul. Okrzei 7)

www.projektorkielce.pl

www.projektorkielce.pl